

ABIGAIL GORDON

Intruz

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Cassandra Bryant, szczupła niebieskooka blondynka, stanęła w drzwiach szpitala, by osobiście dopilnować przyjęcia nowych pacjentów.

Nadjechał ambulans wiozący chorych, których po operacjach przeprowadzonych w dużej klinice w pobliskim mieście wysłano do szpitala w Springfield na rekonwalescencję.

- Ile osób dziś przywożą? - spytała towarzysząca Cassandrze młoda pielęgniarka.

- Cztery. Wszystkie po zabiegach ortopedycznych.

Z ambulansu ostrożnie, z pomocą pielęgniarzy, zaczęli wysiadać pacjenci: trzech starsi mężczyźni i jedna młoda kobieta. Wszyscy podpierali się laskami lub kulami.

Pielęgniarka pospieszyła z pomocą najbardziej poszkodowanemu.

- Proszę powoli, na bieganie jeszcze za wcześnie! - zażartowała. Trzej mężczyźni zareagowali uprzejmym uśmiechem, ale ponury wyraz twarzy kobiety nie zmienił się.

Cassandra zdziwiła się, ale po chwili przypomniała sobie zapisy z dostarczonych wcześniej historii chorób: Aha, to jest ta Andrea Jones, pomyślała.

Joan Davidson, dyrektorka szpitala, zawsze powtarzała swoim podwładnym:

- Strach i obawy pacjenta są nieraz trudniejsze do zwalcze-

nia niż sama choroba. Troszcząc się o przywrócenie zdrowia choremu, musimy być wobec niego cierpliwe, wyrozumiałe i życzliwe.

Wśród chorych czasem trafiał się ktoś, kto odgradzał się od otoczenia trudnym do pokonania murem, były to jednak odosobnione przypadki. Większość pacjentów reagowała bardzo dobrze i wszystkich cieszyło, że znaleźli się w ośrodku bardziej przypominającym podmiejską willę niż duży, miejski szpital.

Był to niski budynek z czerwonej cegły, otoczony starannie utrzymanym parkiem, przez który przepływał strumyk.

Szpital miał dwa oddziały dla przewlekle chorych: ogólny i geriatryczny. Ponadto miał separatki dla pacjentów uciążliwych dla otoczenia, ambulatorium, salę rehabilitacyjną, gabinet chirurgiczny, oddział nagłych przypadków oraz bufet dla personelu i gości.

Cassandra przyjechała do Springfield po uzyskaniu tytułu pielęgniarki dyplomowanej. Po jakimś czasie, zdawszy kilka egzaminów, została siostrą przełożoną i obecnie nie budziła się już z lękiem, czy zdoła w tym tygodniu związać koniec z końcem, albo z przygnębiającą myślą, że jeszcze niczego ważnego w życiu nie dokonała. Teraz mogła sobie powiedzieć, że dowiodła własnej wartości.

Gdy nowi pacjenci zostali rozlokowani w pokojach, Cassandra poszła do gabinetu dyrektorki, Joan Davidson. Gabinet był pusty i tak miało być jeszcze przez dwa tygodnie, bo Joan była w podróży poślubnej. Tę czterdziestoletnią pannę, doskonale radzącą sobie bez męża, niespodziewanie zauroczył krzepki farmer z sąsiedztwa i ku zdumieniu wszystkich poszła z nim do ołtarza.

Cassandra miała całkiem odmienny charakter niż Joan, ale zaprzyjaźniła się z nią - być może dlatego, że obie były niezamężne. Teraz, z powodu Billa Jarvisa, sytuacja się zmieniła.

Zostałam jedyną starą panną w szpitalu, pomyślała Cassandra z rozbawieniem, ale nie mam zamiaru tego zmieniać.

Andrea Jones, najmłodsza i najposępniejsza pacjentka z nowo przybyłych, cierpiała na ostre reumatoidalne zapalenie stawów i ostatnio przeszła operację wszczepienia protezy stawu kolanowego. Była to pierwsza z serii czekających ją operacji ortopedycznych.

Cassandra zauważyła jej zniekształcone dłonie, zgrubiałe kostki, trudności z poruszaniem się, sine cienie pod oczami i urodziwą twarz, na której cierpienie wryło swe piętno. Pomyślała, że ta trzydziestoletnia kobieta -jej rówieśnica -jest zbyt młoda, by cierpieć z powodu tak bolesnego kalectwa.

Postanowiła, że gdy chora odpocznie po podróży, porozmawia z nią i wyjaśni, że zabiegi fizjoterapeutyczne i leki, zapisane przez Olivera Granta - chirurga ortopedę, który przeprowadził operację - sprawią, że wkrótce ból złagodnieje.

Na razie jednak musiała, jako siostra przełożona, zająć się nadzorem nad pracą trzech zespołów pielęgniarek. Jeden zespół odpowiedzialny był za oddział ogólny, drugi - za oddział geriatryczny. Trzeci asystował przy zabiegach chirurgicznych i obsługiwał ambulatorium.

Skończyła pracę o piątej po południu. Od rana była na nogach, ale z uśmiechem na ustach ruszyła sprężystym krokiem w kierunku swego niewielkiego domku na skraj miasteczka. Droga do domu zajmowała jej tylko kilka minut.

Wyjęła klucz i otworzyła drzwi. Z kuchni buchnęła hałaśliwa muzyka. Siedzący przy stole ciemnowłosy chłopiec podniósł głowę znad leżącego przed nim podręcznika.

- Cześć, mammo! - powiedział. - Jak było w szpitalu?

- Nie najgorzej. A co tam w szkole?
- Trochę biliśmy się z Bowersami na podwórku, ale w końcu żeśmy się pogodzili.

Zmarszczyła brwi.

- O co poszło?
- O piłkę.
- Rozumiem. Ale pytając o szkołę, miałam na myśli bardziej postępy w nauce niż bójki.
- A, no więc okazało się, że byłem najlepszy z klasówki z fizyki... i najgorszy z zajęć plastycznych.

Wesoło zmierzwiła mu włosy.

- Moje nieodrodne dziecko!

Pomyślała, że Mark jest również nieodrodnym dzieckiem swego ojca. Darren był najbardziej błyskotliwym spośród młodych lekarzy, z którymi zetknęła się dwanaście lat temu, ale rozruszać go mogły tylko oślepiające światła dyskotek, do których chodzili po spędzanych wspólnie długich dyżurach.

Poznali się w miejskim szpitalu, gdzie ona była na stażu, a on na półrocznej praktyce w ramach studiów.

Miał ciepłe, brązowe oczy i czarne, kędzierzawe włosy. Umaił się wcześniej z innymi pielęgniarzami, ale gdy zwrócił uwagę na Cassandrę, zadurzyła się w nim po uszy.

Niedoświadczona i wrażliwa, nie przyjęła do wiadomości żartów przyjaciółek, że Darren postanowił zaliczyć cały żeński personel szpitala. Jej rodzice umarli jedno po drugim niedługo przedtem, zanim rozpoczęła pracę w szpitalu i Cassandra, łaknąca rodzinnego ciepła, była łatwą ofiarą. Nie znalazł się nikt, kto powstrzymałby Darrena w jego nieodpowiedzialnych zapędach, a ona, nie mając żadnego doświadczenia w postępowaniu z chłopcami, w dobrej wierze godziła się na wszystko.

Później, myśląc o tym okresie swego życia, nie mogła nadziwić się swej łatwowierności. Uzmysłowiła sobie, że wcale nie uwierzyłaby w gładko wypowiedane przez Darrena zapewnienia o miłości, gdyby nie czuła się tak osamotniona. Potrzeba czułości, która wypełniłaby straszłą pustkę po śmierci rodziców, sprawiła, że rzuciła się na oślep w tę zdradliwą przygodę.

Pewnego dnia Darren po pijanemu wdrapał się na szczyt wieży pobliskiego kościoła i spadł, zabijając się na miejscu. W tym czasie chodził już z inną dziewczyną, tak samo zwariowaną jak on, która namówiła go na to szaleństwo.

Wówczas Cassandra uzmysłowiła sobie, jaka była głupia, ale nie miała do kogo udać się po pociechę, więc długo w noc płakała, żałując Darrena... i swojego utraconego dziewictwa.

Rodzina Darrena mieszkała w Australii i gdy jego rodzice i starszy brat przyjechali, by pochować go na podmiejskim cmentarzu, Cassandra stała w gronie kolegów, zrozpaczona i odarta ze złudzeń.

Po pogrzebie nieśmiało podeszła do ponurego młodego człowieka, który w trakcie krótkiej mszy żałobnej towarzyszył swym zrozpaczonym rodzicom.

- Tak mi przykro, panie Marsland - szepnęła. - Chodziłam z Darrenem i nie mogę się...

Chciała powiedzieć, że nie może się pogodzić ze śmiercią jego brata, ale on nie dał jej dokończyć.

- A, więc to ty sprowokowałaś go do tego szalonego czynu! I teraz chcesz mi wmówić, że nie przyszło ci do głowy, że coś takiego może się skończyć śmiercią? Wiem, że mój brat był nieodpowiedzialny, ale dzielnie mu w tym sekundowałaś!

Zanim zaskoczona niesprawiedliwym oskarżeniem zdołała zebrać myśli i wyjaśnić, że nie miała nic wspólnego ze śmiercią

Darrena, że kochała go szczerze i nigdy nie uczyniłaby niczego, co mogłoby mu zaszkodzić, jego brat odwrócił się do niej plecami i ruszył ku rodzicom, którzy rozmawiali z księdzem.

Cassandra wróciła do domu załamana, z poczuciem krzywdy. Przed wypadkiem nie przypuszczała, że jest tylko jedną z wielu porzuconych przez Darrena dziewczyn. Żal po jego śmierci mieszał się z bólem po jego zdradzie. Ból ten był tym mocniejszy, że wyrzucała sobie brak przezorności.

- Co jest na podwieczorek, mamó? - spytał Mark.

- Na podwieczorek...? Parówki, frytki i fasola - odparła, powracając myślami z czasów bolesnej przeszłości do pogodnej teraźniejszości. - Ale pamiętasz, że najpierw musimy pójść do przychodni?

- Koniecznie? Umieram z głodu!

- Koniecznie - odparła stanowczo. - Jestem tak samo głodna jak ty, jednak doktor John wyznaczył ci właśnie ten termin i nic na to nie poradzimy.

- Wiem, ale przecież czuję się już całkiem dobrze.

- Być może, ale on woli to sprawdzić, bo na szkolnej wycieczce naprawdę mocno się przeziębileś.

Gdy zjawili się w położonej w środku miasteczka przychodni, recepcjonistka nie przywitała ich zwykłym uśmiechem.

- Doktor John miał wczoraj zawał - poinformowała przyciszonym głosem. - Zawieźli go do kliniki na oddział intensywnej terapii.

- Ale przecież wczoraj był w Springfield - odparła zaskoczona Cassandra. - Przyszła do nas pacjentka z okropnym ropniem i pamiętam, że przecinał go pod znieczuleniem.

Recepcjonistka kiwnęła głową.

- Tak, wiem. A po południu zabrali go do kliniki. Wszyscy bardzo się martwimy.

John Forrester, starszy pan, którego mieszkańcy miasteczka i pracownicy szpitala nazywali z sympatią „doktorem Johnem”, był lekarzem starej daty. Sumienny, nie bawił się w zbytne uprzejmości, ale miał ogromną życzliwość dla ludzi. Cassandra była mu wdzięczna za pomoc i podtrzymywanie jej na duchu, gdy samotnie wychowywała syna.

- No to wracamy - oznajmił Mike, myśląc o czekającym go podwieczorku.

Recepcjonistka uśmiechnęła się.

- Nie musicie wracać. Na szczęście dziś rano przyjechał do nas na pół roku znajomy doktora Johna. On was przyjmie. Kiedy usłyszał o chorobie doktora Johna, postanowił go zastąpić.

Mark nie był zadowolony z takiego obrotu rzeczy.

- Mamo, przecież sama mogłabyś mnie osłuchać.

Cassandra roześmiała się głośno.

- Nie ma mowy. Jestem za bardzo zaangażowana emocjonalnie. Najmniejszy szmer skłoniłby mnie do zapakowania cię do łóżka.

- To już wolę pójść do lekarza - rzekł chłopiec z rezygnacją.
- Jutro mam trening rugby.

Gdy weszli do gabinetu, zza biurka doktora Johna wstał wysoki, barczysty, ciemnowłosy i ciemnooki, wspaniale opalony mężczyzna.

- Dzień dobry, pani Bryant - przywitał Cassandrę.

- Dzień dobry - odparła, zastanawiając się równocześnie, gdzie się tak opalił. Pewnie spędza każdą wolną chwilę pod kwarcówką, pomyślała. - Przyprowadziłam syna na kontrolne badanie po infekcji dróg oddechowych. Osobiście uważam, że jest już całkiem zdrowy, ale doktor Forrester chciał go obejrzeć.

- A co daje pani prawo decydowania o stanie zdrowia chłopca? - spytał lekarz ostrym tonem.

Zrozumiała, że jest zupełnie inny niż doktor John.

- Po pierwsze, jestem pielęgniarką. Po drugie, jestem jego matką i wiele widzę.

- Przypadek nieustannej ingerencji w życie syna, co?

Ośmiela się ją osądzać! Uważa ją za nadopiekuńczą matkę, choć zawsze tego unikała. Mark był spokojnym jedenastolatkiem, normalnym w każdym calu... i wyrósł na takiego bez ojca!

- To już moja sprawa - odparowała.

W odpowiedzi jedynie uniósł brwi. Gdy chwilę wcześniej powiedziała, że jest pielęgniarką, spojrział na nią z lekkim zainteresowaniem, ale nie podjąwszy tego tematu, zwrócił się do chłopca:

- Zdejmij sweter, Mark. Zbadam cię.

Zapadła cisza, w której lekarz przykładał stetoskop do piersi i pleców Marka. Potem wyprostował się i powiedział:

- Tak, ma pani rację. Drogi oddechowe są już całkiem czyste.

Słowa te z opóźnieniem dotarły do Cassandry, która siedziała jak sparaliżowana, utkwivszy wzrok w stojącej na biurku metalowej ramce z kartonikiem, na którym widniało nazwisko lekarza.

Bevan Marsland.

Nie poznała go. Dopiero to nazwisko przeniosło jej myśli w przeszłość: cmentarz, pogrzeb, lodowate, wrogie spojrzenie tego człowieka.

- Gdzie pani pracuje? - spytał, gdy Mark ubierał się po badaniu.

- Ja...? - Odchrząknęła. - Jestem siostrą przełożoną w tutajszym szpitalu.

- A, to będziemy się widywać - powiedział z oficjalną uprzejmością. - John Forrester długo nie wróci do pracy; atak był poważny, a on jest już młody.

- Nie jest - odparła z żalem. - Więc pan zastępuje go i tu, i w szpitalu?

- Tak, przez okres mojej tutejszej praktyki.

- Rozumiem.

Rozumiała więcej, niż postronny słuchacz mógłby wywnioskować z tej krótkiej odpowiedzi. Pojęła, że przez kilka miesięcy będzie ciągle stykała się z człowiekiem, który kiedyś okazał jej pogardę, a gdyby wiedział, co się z nią działo po tym dramatycznym spotkaniu na cmentarzu, zaczęłyby nią gardzić jeszcze bardziej.

Ale chyba jej nie poznał? Na pewno nie znał wtedy jej nazwiska, a od tamtego czasu bardzo się zmieniła. Zagubiona dziewczyna zmieniła się w dojrzałą kobietę, która urodziła i samotnie wychowała syna, spłodzonego przez samolubnego, nieodpowiedzialnego donżuana.

Wstała i ruszyła na miękkich nogach ku drzwiom.

- Dziękuję, że pan nas przyjął, panie doktorze. Mam nadzieję, że przyjemnie będzie się panu u nas pracowało.

Lekarz w odpowiedzi skinął głową.

Krojąc ziemniaki na wąskie paski i układając parówki na ruszcie, próbowała dociec, co takiego zrobiła, że brat Darrena musiał się właśnie jej zwalić na głowę.

Po posiłku Mark poszedł do klubu młodzieżowego spotkać się z kolegami, a ona posprzątała ze stołu i usiadłszy, spojrzała w okno.

W ogrodzie lekko kołysały się złociste główki żonkili, nieopodal wierzba pyszniła się puszystymi baziami, a w oddali widać było wzgórze Cotswolds, znane ze swych czarujących miasteczek i wsi. Kochała te żyzne strony Anglii, w których miesz-

kała przez całe życie. Dziś jednak nie dostrzegała ani wzgórz na horyzoncie, ani ogrodu, w którym tak chętnie pracowała w wolnych chwilach. Przed jej oczami z wolna przesuwały się obrazy z przeszłości.

To, że jest w ciąży, odkryła po dwóch tygodniach od pogrzebu Darrena. Wstrząsnęła nią ta nowina. Kochali się tylko raz. Wtedy Darren spotykał się już z dziewczyną, która później namówiła go do wejścia na szczyt wieży.

W pierwszej chwili zdesperowana Cassandra chciała odszukać jego rodziców i powiadomić ich, że będą mieli wnuka. Drugą możliwością było usunięcie ciąży. Ale gdy otrząsnęła się z pierwszego szoku i zaczęła myśleć racjonalnie, odrzuciła obie ewentualności.

Druga była dla niej nie do przyjęcia, ponieważ wybrała za wód, którego istotą było ratowanie życia, a nie niszczenie go. Po przemyśleniu odrzuciła też pierwszą. Skłoniły ją do tego słowa brata Darrena, wypowiedziane wtedy na cmentarzu. Uznał, że jest ulepiona z tej samej gliny co Darren: nieodpowiedzialna i głupia - i chociaż nie była winna temu, o co Bevan ją oskarżył, doszła do wniosku, że rzeczywiście jest nieodpowiedzialna i głupia, bo dała się uwieść.

Rozważywszy wszystko starannie, stwierdziła, że istnieje tylko jedno wyjście: urodzi dziecko i wychowa je sama.

Nie chcąc być obiektem porozumiewawczych spojrzeń i litościwych uśmiechów, gdy ciąża stanie się widoczna, postarała się o przeniesienie do innego szpitala. Dokonawszy tego, poczuła się mniej zagrożona, ale poczucie wyobcowania bardzo jej ciążyło do momentu, w którym po raz pierwszy wzięła w ramiona syna i przestała być sama na świecie.

Gdy zdecydowała się na urodzenie dziecka i samotne wycho-

wywanie go, czuła się dzielna i szlachetna. Jednak dopiero po przyjsciu Marka na swiat uswiadomila sobie ogrom związanych z tym obowiazków. Bardzo trudno bylo zarobic tyle, by wiązac koniec z koncem i oplacac wynajete do dziecka opiekunki, co do których nigdy nie bylo pewności, czy zajmują się nim nalezyce.

Oczywiście były też w jej życiu szczęśliwe chwile. Cieszyło ją, że mała, czerwona, pomarszczona istotka wydana przez nią na świat, zmieniła się w roześmianego, puciołowego malca, a potem w poważnego chłopczyka, który teraz, mając jedenaście lat, zapowiadał się na przystojnego nastolatka i prowadził własne życie towarzyskie. Fakt, że ona sama właściwie nigdzie nie była, wcale jej nie przeszkadzał. Udało się jej wychować syna. To jest najważniejsze.

Mark był wesołym, nieskomplikowanym chłopcem. Gdy kiedyś spytał o ojca, Cassandra powiedziała mu zgodnie z prawdą, że ojciec przed jego urodzeniem zginął w wypadku.

Nie powiedziała mu, że zginął dlatego, że po pijanemu wszedł na szczyt wieży kościelnej. Nie chciała, by Mark uznał ojca za dzielnego, nie lękającego się niczego zawadiakę albo za nieodpowiedzialnego młokosa.

Nie odczuwała wyrzutów sumienia, zataiwszy ciężę przed państwem Marsland. Uważała, że dziadkowie jej dziecka zareagowali by na tę wieść podobnie jak brat Darrena i pomyśleli, że jakaś nieodpowiedzialna pannica podszywa się pod ich synową.

Po pogrzebie rodzice Darrena wrócili do Australii i jego brat wyjechał z nimi. A teraz, w dwanaście lat później, znalazł się tutaj.

W jej uporządkowany świat wdarł się intruz i miał tu pozostać przez sześć miesięcy. Nie będzie przed nim ucieczki. Będą się

spotykali wszędzie: w szpitalu, w przychodni i w miasteczku, a dziś po raz drugi okazało się, że jest to człowiek, który nie liczy się z innymi. Sprawia jednak wrażenie kompetentnego lekarza i jest bardzo przystojny. To ostatni człowiek, z którym chciałaby się zadawać, ale zanim dowiedziała się, kim jest, na jego widok serce zabiło jej szybciej.

Podczas bezsennej nocy wciąż powtarzała sobie, że te sześć miesięcy szybko minie. Nowy lekarz nie zdąży chyba w tak krótkim czasie zadomowić się w tutejszym środowisku. Jeśli ona i Mark nie będą wchodzili mu w drogę, nie dowie się, że jego brat miał syna.

Z drugiej strony musiała się liczyć z tym, że jeśli Bevan będzie widywał Marka, dostrzeże w nim kiedyś rodzinne podobieństwo - zwłaszcza że chłopiec jest bardziej podobny do niego niż do swego ojca.

Jedynie Joan Davidson, dyrektorze szpitala w Springfield i swej przyjaciółce, powiedziała, kto jest ojcem dziecka, a Joan nikomu nie zdradzi tej tajemnicy. Poza tym kto miałby o to pytać? Przecież nikogo to nie interesuje.

Gdy zaczynało świtać, doszła do wniosku, że robi z igły widły. Bevan Marsland po prostu przypadkowo znalazł się na jej drodze i wkrótce wróci, skąd przybył. Uspokojona tą myślą usnęła wreszcie, by dwie godziny później z trudem obudzić się na dźwięk stojącego przy łóżku budzika.

Pola po obu stronach drogi srebrzyły się szronem, co oznaczało, że w nocy był przymrozek. W pewnej chwili koło idącej do szpitala Cassandry zatrzymał się brązowy samochód. Kierowca opuścił szybę i Cassandra usłyszała:

- Jadę do szpitala. Podwieźć siostrę?

Był to Bevan Marsland.

Zesztywniała. Przez całą noc usiłowała przekonać samą siebie, że nie będzie go widywała zbyt często, tymczasem dzień pracy jeszcze się nie zaczął, a on już jest przy niej i zaprasza ją do swojego auta!

- Ale przecież pan ma dyżur w przychodni! - odparła zaskoczona.

Otworzył drzwi.

- Tak, ale dopiero wpół do dziewiątej, a teraz jadę do szpitala. Miałem telefon od nocnej pielęgniarki.

- W jakiej sprawie? - spytała, niechętnie wsiadając do samochodu.

Wolałaby przejść się do szpitala, ale on specjalnie dla niej się zatrzymał i nie chciała odmawiać, by jeszcze bardziej nie zwracać na siebie jego uwagi. Im mniej będzie się rzucała w oczy, tym lepiej. Czekając na jego odpowiedź, pomyślała ponuro, że rano nie zaczął się miło.

- Jeden ze starszych pacjentów miał udar mózgu.

Zawodowe zainteresowanie zwyciężyło niechęć Cassandry.

- Który?

- Tego, niestety, nie wiem. Proszono mnie tylko, żebym przyjechał.

- Dlaczego pana? Pewnie jeszcze nie zdążył pan rozpakować walizek.

Spojrzał na nią z ukosa, ale nie skomentował jej braku entuzjazmu dla swojej osoby.

- Pielęgniarka z nocnej zmiany nie wiedziała o chorobie doktora Johna i o tym, że zastępuje go ktoś obcy.

Ostatni wyraz zaakcentował mocniej. Uzmysłowiła sobie, iż wyczuwa jej niechęć, ale źle ją sobie tłumaczy. Sądzi, że ona nie może się do niego przekonać, bo jest tu obcy. No i dobrze, niech

tak uważa. Oby jak najdłużej nie domyślił się prawdziwego powodu.

Gdy przyjechali do szpitala i wysiedli z samochodu, wyciągnęła rękę w kierunku oddziału geriatrycznego i powiedziała:

- Ja zaczynam dyżur o ósmej. Teraz przyjmie pana siostra z nocnej zmiany.

Spojrzał na nią, skinął głową i poszedł we wskazanym kierunku.

Cassandra zdjęła płaszcz i zaczęła przygotowywać się do pracy. Spotkanie z Bevanem Marslandem tuż po wyjściu z domu nie wydawało się jej teraz aż taką okropnością, bo przekonała się, że on wciąż jej nie poznaje. Jeśli tak będzie dalej, to wszystko jakoś się ułoży.

Gdy weszła na oddział geriatryczny, Bevan i Eileen Gates, pielęgniarka z nocnej zmiany, pochyłali się nad chorym.

- Cześć, Cassie! Staruszek Tom miał o siódmej udar i wezwałam lekarza.

- Którym, ku rozczarowaniu niektórych osób, okazałem się ja - mruknął Bevan Marsland, nie podnosząc głowy.

Eileen, drobna szatynka, rozwódka, spojrzała na niego uwodzicielsko i powiedziała:

- Może była to niespodzianka, panie doktorze, ale w żadnym wypadku nie rozczarowanie.

Spojrzał na nią, uśmiechnął się uprzejmie, po czym znowu zajął się pacjentem.

Cassandra, patrząc na jego plecy, pomyślała, że od niej niczego takiego nie usłyszy. Jeśli Eileen chce z nim flirtować, to jej sprawa, ale na dyżurach nic takiego nie będzie miało miejsca.

- Minęła ósma, Eileen - oznajmiła chłodno. - Czas do domu.

Udar pozbawił pacjenta mowy i sparaliżował jedną stronę ciała. Spoglądał na lekarza z lękiem, kiedy ten mówił łagodnie:

- Proszę nie brać tego zbyt poważnie. Miał pan udar, który między innymi odebrał panu mowę, ale niedługo poczuje się pan lepiej i wspólnie z fizjoterapeutą postaramy się zrobić wszystko, żeby przywrócić panu możliwość poruszania się.

Pacjent dotknął warg palcem zdrowej ręki i Bevan dodał:

- Tym też się zajmiemy. Zastosujemy terapię mowy.

Niepokój w oczach pacjenta częściowo ustąpił. Lekarz poklepał go uspokajająco po chudej dłoni i gestem odwołał Cassandrę na bok.

- Siostrzo, ten człowiek miał poważny udar, który zaatakował lewą półkulę mózgu. Stąd afazja - utrata mowy - i prawostronne połowiczne porażenie ciała. Będzie pani musiała pilnować, czy nie ma oznak zapalenia płuc. Ponadto przepiszę antykoagulant, żeby zapobiec powstawaniu skrzepów krwi. Z akt pacjenta wynika, że ma osiemdziesiąt dziewięć lat. Znalazł się tutaj, bo jego ogólny stan zdrowia jest nie najlepszy.

- Tak. Tom Mason mieszka sam i nie dba o siebie jak należy. Od kilku miesięcy przyjmujemy go co jakiś czas na krótki okres, żeby go podleczyć.

- Jak widzę, miewa problemy z prostatą, zapalenia oskrzeli i silne zawroty głowy. Niezbyt dobrze się to zapowiada, ale na pewno coś da się zrobić.

- Bez wątplenia - zgodziła się z powściągliwym uśmiechem.
- Nie mógłby się znaleźć w lepszym miejscu. Nasz personel jest troskliwy i ofiarny. Nawet nasi dwaj woźni w wolnych chwilach zajmują się ogrodem, bo budżet nie pozwala na zatrudnienie ogrodnika. A dyrektorka jest wspaniała. Niestety nie mogła pana przywitać, bo właśnie jest w podróży poślubnej za granicą i ją zastępuję.

Z należną uwagą wysłuchał jej superlatywów na temat szpi-

tala w Springfield, a gdy urwała, by zaczerpnąć powietrza, wtrącił szybko:

- Skoro tak, to mogę jedynie cieszyć się z dalszych wizyt w tym wyjątkowym miejscu. Dlatego proszę nie wahać się ani chwili i wzywać mnie, ilekroć stan zdrowia Toma się pogorszy.

- Oczywiście - przytaknęła, dziwiąc się, co ją skłoniło do wychwalania Springfield przed tym obcym człowiekiem. Z drugiej strony nie jest przecież kimś całkiem obcym. Jest bratem Darrena, wujkiem Marka. To dlatego dotychczas nie potrafiła zachowywać się naturalnie w jego obecności i pewnie nie uda jej się to w przyszłości.

- Pójdę już. Może zdążę zjeść jakieś śniadanie przed dyżurem w przychodni.

Uświadomiła sobie, że nie zna jego adresu.

- Gdzie pan mieszka?

Przypuszczała, że z żoną i dziećmi mieszka w jakiejś eleganckiej willi w Cotswolds, ale okazało się, że jest inaczej.

- W służbowym mieszkaniu nad przychodnią. Nie ma tam luksusów, ale mieszkałem już w o wiele gorszych warunkach, więc nie narzekam. Muszę się troszczyć tylko o siebie, a kiedy mi się nie chce gotować, mogę zjeść coś poza domem.

Wziął swą torbę i ruszył ku wyjściu. Cassandra poczuła irracjonalny żal... Oczywiście tylko dlatego, że nie zdążyła mu pokazać reszty sal szpitalnych. Tak. Wyłącznie z tego powodu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Andrea Jones była dziś mniej zamknięta w sobie, mimo że właśnie przeszła bolesną sesję fizjoterapeutyczną. Gdy Cassandra zatrzymała się przy jej łóżku, stwierdziła radośnie:

- To niewiarygodne, ale kolano mnie już nie boli. Okropnie się bałam operacji, ale teraz nie mogę doczekać się następnej.

- Nie tak szybko - roześmiała się Cassandra. - Najpierw trzeba doprowadzić do końca pierwszy etap.

Andrea posmutniała.

- Tak, wiem. Z kolanem już całkiem dobrze, ale lekarstwa przeciwbólowe zrujnowały mi żołądek. Mam nadzieję, że znajdą państwo na to jakiś sposób.

- Proszę się nie obawiać. Mamy tu wszystko, czego potrzeba, żeby doprowadzić panią do porządku.

Gdy Cassandra weszła do ambulatorium, zobaczyła tam tłum pacjentów czekających na założenie opatrunków albo na drobne zabiegi chirurgiczne.

Przed szpital równocześnie podjechały dwa samochody i wysiedli z nich doktorzy Peter Abbotsford, żonaty, ojciec dwojga dzieci, oraz Michael Drew, kawaler, który chętnie zmieniłby swój stan cywilny. Po obchodzie i przebadaniu leżących w Springfield chorych mieli zająć się pacjentami z ambulatorium.

Abbotsford udał się do recepcji, a Drew do biura.

Cassandra uśmiechnęła się wesoło na jego widok. Odwzaje-

mnął się jej ciepłym spojrzeniem, z przyjemnością patrząc na jej szczupłą sylwetkę w ciemnoniebieskim stroju ze śnieżnobiałymi mankietami.

Był dobrze zbudowanym, jasnowłosym mężczyzną i zawsze niezręcznie czuł się w towarzystwie kobiet. Jedyne wyjątki stanowiła siostra Bryant, która zagościła na stałe w jego myślach.

- Dzień dobry, Mike - powiedziała Cassandra, wstając zza biurka. - Peter też już jest?

Michael kiwnął głową. Gdy byli sam na sam, zawsze tracił kontenans i nie znajdował potrzebnych słów.

- To świetnie. Bierzcie się do roboty. W poczekalni jest tłok, a ludzi wciąż przybywa.

Przez całą drogę powtarzał sobie to, o co chciał ją spytać: Czy poszłaby z nim do restauracji? Czy mógłby ją zaprosić do teatru albo do kina? Albo...

Zamiast tego powiedział:

- Słyszałem o Johnie Forresterze. Bardzo mi go żal.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, w drzwiach zabrzmiał głos Petera:

- No właśnie. A jaki jest ten nowy? Zjawił się nie wiadomo skąd na wieść o chorobie Johna. Pewnie to jakiś jego dawny znajomy. Słyszałem, że przyjechał w nasze strony, żeby wypocząć.

Michael Prew odzyskał mowę. Przynajmniej w sprawach zawodowych nie tracił elokwencji.

- To już przesada. Nie wyobrażam sobie, żeby przyjeżdżać do pracy na wypoczynek.

- Ja też - poparł go przyjaciel i spytał Cassandrę: - Pewnie jeszcze go nie widziałaś?

- Widziałam. Od wczoraj zastępuje doktora Johna w ośrod-

ku, a dziś był tu przed ósmą. Pielęgniarka z nocnej zmiany wezwwała go do pacjenta, który miał udar.

- No coś takiego! - wykrzyknął Peter Abbotsford. - A podobno przyjechał dopiero wczoraj.

- Tak, ale od razu zabrał się do roboty. Chyba przyjechał prosto z urlopu, bo jest bardzo opalony.

W tej chwili do pokoju weszła Jean Baird, fizjoterapeutka. Przywitała się i spytała:

- Mówicie o tym nowym, który zastępuje Johna Forrestera?

- Tak.

- Jedna z recepcjonistek powiedziała mi, że Bevan Marsland nie był na wakacjach w dosłownym sensie tego słowa, chociaż wygrzewał się na jakiejś zagranicznej plaży; został ranny podczas pracy w Bośni i wysłano go na rekonwalescencję.

Zapanowała cisza.

- W takim razie może naprawdę tutejsza praktyka wyda mu się wypoczynkiem - odezwał się po chwili Michael.

Lekarze i Jean poszli do swoich zajęć, a Cassandra została sama ze swymi myślami o Marslandzie. Jej niechęć do niego zniknęła. Jak i gdzie został ranny? Trzeba sporej odwagi, by zgłosić się na ochotnika do niesienia pomocy cierpiącym mieszkańcom Jugosławii.

Widać było, że to nie jest człowiek tuzinkowy. Biła od niego jakaś wewnętrzna siła. Nawet gdy siedział za biurkiem w gabinecie lekarskim małej, prowincjonalnej przychodni, dostrzegało się w nim coś jakby... pewność siebie? I chyba coś jeszcze. Może lekceważenie dla wygody i bezpieczeństwa życia na angielskiej wsi?

Po jakimś czasie, w trakcie pełnego obowiązków dnia pracy, uświadomiła sobie, że w niecałe dwadzieścia cztery godziny

zetknęła się z Bevanem Marslandem dwukrotnie, a przez wszystkie pozostałe chwile nie przestawała o nim myśleć. Nie wróżyło to najlepiej na przyszłość. Czy na innych wywrze on podobne wrażenie?

W niedzielę wieczorem Cassandra pojechała odwiedzić Johna Forrestera. Wcześniej zatelefonowała na oddział kardiologiczny, by się upewnić, czy stan chorego pozwala na przyjmowanie gości, a także ile osób się zapowiedziało. Nie chciała, by starszego pana zmęczył nadmiar odwiedzających.

- Do pacjentów wpuszczamy najwyżej dwie osoby - poinformowała ją pielęgniarka. - Wiem, że doktor Forrester nie oczekuje dziś nikogo, więc proszę przyjechać. Na pewno się ucieszy.

Żona Johna Forrestera umarła przed kilkoma laty, a ponieważ nie mieli dzieci, jedynymi odwiedzającymi mogliby być dalsi krewni albo znajomi z pracy. Widocznie spośród tych osób tylko Cassandra wybierała się dziś do niego.

Po wczesnej kolacji z synem poszła na przystanek autobusowy, by pojechać do miasta. Kilka lat temu kupiła używanego fiata, tak małego, że chyba zmieściłby się w bagażniku wspomnianego, brązowego samochodu Bevana Marslanda, ale dzisiaj nie miała ochoty jechać dychawicznym staruszkiem - wolała przyglądać się krajobrazowi, wypoczywając w fotelu na piętrze autobusu jadącego wąskimi, wiejskimi drogami, wśród żywopłotów zieleniących się wiosennymi pączkami.

Doktora Johna zastała w fotelu obok łóżka. Był blady i wyglądał na zmęczonego. Serce ścisnęło się jej na ten widok. Ilekroć go widywała, miał zawsze zarumienione policzki, wesołe spojrzenie, ale dzisiaj był starym, schorowanym człowiekiem.

Gdy ją ujrział, odzyskał częściowo swój dawny wigor.

- Cassie! Tak się cieszę! Los mnie dzisiaj rozpieszcza!

- A to dlaczego?

Objęła go delikatnie na powitanie i wręczyła mu koszyczek owoców i nowy kryminal.

- Odwiedzają mnie dwie najbliższe mi osoby.

- Dwie? - Rozejrzała się po pokoju.

- Tak. - Wskazał na składane krzeselka, widoczne na korytarzu przez otwarte drzwi. - Weź sobie krzesło i usiądź koło mnie. Zaraz ci to wyjaśnię, a potem opowiesz mi wszystkie nowiny.

Idąc na korytarz, Cassandra pomyślała, że jest tylko jedna istotna nowina, którą John znał wcześniej niż inni: przybycie Bevana Marslanda. I nagle, jakby za sprawą zaczarowanej lampy Aladyna, ujrziała wyłaniającego się z pobliskich drzwi uśmiechniętego Bevana, za którym podążała dyżurna pielęgniarka. Gdy zobaczył Cassandrę, ściskającą w dłoniach oparcie krzesła, spoważniał.

- Dziękuję, sestro - powiedział.

Podszedł do Cassandry, wyjął jej z rąk krzeselko, wziął dla siebie drugie i spytał swobodnym tonem:

- Więc nasze drogi znowu się krzyżują?

- Najwyraźniej - odparła chłodno i weszła do pokoju Johna Forrestera.

Gdy usiedli po obu bokach łóżka, Bevan powiedział:

- Nie wiedziałem, że ty i pani Bryant jesteście tak dobrymi znajomymi.

Stary lekarz uśmiechnął się.

- A tak, przyjaźnimy się od dawna. Teraz Cassie stanęła na nogi, ale przez wiele lat przeżywała ciężkie chwile i miałem przyjemność często służyć jej radą i pomocą. Samotne wychowywanie dziecka to nie żarty. Prawda, moja panno?

Cassandra skuliła się. Dlaczego John porusza tę sprawę? I to przy bracie Darrena! Brak męża zwykle jej nie przeszkadzał - czasem tylko ogarniał ją smutek na widok pary szczęśliwych rodziców - ale nie chciała, by ktoś poruszał kwestię jej panieństwa właśnie przy tym człowieku.

- Zdaję sobie sprawę z problemów, jakie wiążą się z samotnym wychowywaniem dziecka, ale w naszych czasach twoja przyjaciółka Cassandra nie jest pierwsza ani ostatnia - odparł Bevan.

Cassandra zacisnęła pięści. On znowu beznamiętnie ocenia to, o czym nie ma pojęcia! Jak to możliwe, że brat Darrena, który żył tylko emocjami, jest taki zimny i zadufany w sobie?

Nagle zrobiło jej się gorąco. Może ją rozpoznał?

Szybko jednak odrzuciła tę ewentualność. Gdyby tak było, nie poprzestałby na takim ogólnikowym stwierdzeniu. A nawet jeśli nie chciał teraz denerwować doktora Johna, zdradziłby się wcześniej, w trakcie któregoś z ich poprzednich spotkań.

Chcąc zmienić temat rozmowy na bezpieczniejszy, rzekła z wymuszonym uśmiechem:

- Ale przecież nie przyszliśmy tu po to, żeby rozmawiać o mnie. Chcemy usłyszeć, co nowego u pana, doktorze. Czy czuje się pan lepiej? Czy lekarze są zadowoleni z postępów kuracji?

- Dwa razy tak: czuję się lepiej i lekarze są zadowoleni. Ale nie sądzę, żebym mógł wrócić do pracy.

Popatrzył na opaloną twarz Bevana.

- Idę na emeryturę. Ta wieś za bardzo się rozrosła jak na możliwości starego człowieka. Tu trzeba kogoś młodszego. Kiedy wyzdrowieję, wystawię gabinet na licytację.

- Nie martw się tym teraz, John - powiedział Bevan. - Będę cię zastępował przez sześć miesięcy. To dość czasu, żeby wszystko spokojnie przemyśleć.

- Chyba masz rację. Poczekam i potem zdecyduję.

Cassandra nie chciała skracać dozwolonego czasu wizyty u chorego. Bevan najwyraźniej też nie miał tego zamiaru. Nie było wyboru: musieli wyjść ze szpitala razem. Jednak gdy przekroczyli bramę, pożegnała się z nim zdawkowym „Do widzenia” i ruszyła w kierunku przystanku.

Chwycił ją za łokieć.

- Proszę poczekać. Przyjechała pani samochodem?

- Nie. Autobusem.

- No to odwiozę panią.

- Dziękuję, ale wolę jechać autobusem.

- A jeśli nie przyjedzie zgodnie z rozkładem, Cassandro?

Jeśli się nie mylę, tak pani ma na imię?

- Nie myli się pan - odparła szybko. - Przyjaciele nazywają mnie Cassie.

Westchnął.

- No tak. Dla mnie na razie będzie pani Cassandrą. Sądząc po naszych dotychczasowych kontaktach, nie uważa mnie pani za jednego ze swoich przyjaciół, czego dowodem jest choćby nasza obecna rozmowa.

Zaczerwieniła się. Wyraźnie dał jej do zrozumienia, że zachowuje się wobec niego nieprzyjaźnie. W pewnym stopniu miał rację. Nie wiedział jednak, że ona ma powód, by trzymać się od niego z daleka. Bardzo ceniła sobie świat, który zbudowała dla Marka i siebie. Nie chciała, by wtargnął do niego ktoś obcy, i to ze swoją rodziną.

- To naprawdę śmieszne, żeby jechała pani autobusem, skoro

mogę panią zawieźć pod sam dom. Więc jak, wsiada pani? - spytał, otwierając przed nią drzwi samochodu.

Trzeba skapitulować. Nie ma sensu robić afery z normalnej propozycji.

- Tak, dziękuję - mruknęła.

- Czasami bywam pożyteczny - powiedział, gdy ruszyli - nawet jeśli ogranicza się to do podwożenia bardzo samodzielnych kobiet.

- Jeśli według pana jestem za bardzo niezależna, to dlatego, że zostałam do tego zmuszona.

- Tak, rozumiem. Przypuszczam, że jest pani rozwiedziona, bo wdowy nie podkreślają tak swojej niezależności.

- Myli się pan. Mark jest nieślubnym dzieckiem.

- A, teraz rozumiem, dlaczego John tak się o panią troszczy. A gdzie jest ojciec chłopca?

- Opuścił mnie.

Było to uproszczenie problemu, ale wystarczyło, by położyć kres pytaniom. By zmienić temat, powiedziała:

- Słyszałam, że był pan ranny.

Popatrzył na nią i spytał:

- Kto pani to powiedział?

- Ktoś w Springfield.

- A czy ten ktoś powiedział też, że jestem koczowniciem? Że jeżdżę w najdziwniejsze miejsca?

- Albo tam, gdzie są największe potrzeby - mruknęła.

- Ma pani na myśli Bośnię? Tak, potrzebni tam byli... są... lekarze wszelkich specjalności. Byłem tam tylko dwanaście miesięcy. Przedtem pracowałem w Australii, w medycznej służbie powietrznej.

Cassandra popatrzyła na niego ze zdumieniem.

- Więc dlaczego przyjechał pan tutaj? Czemu zagrzebał się pan na głębokiej prowincji?

- Bo zranił mnie szrapnel. Musieli mnie operować, a potem zespół, w którym pracowałem, zdecydował, że powinienem zregenerować siły.

- I udało się to panu?

- Do pewnego stopnia.

- Więc przyjechał pan tu na wypoczynek?

- Niezupełnie. Odpocząłem już wcześniej. Dwa miesiące wylegiwałem się beczynnym na plaży, chociaż muszę przyznać, że wszyscy, którzy pracują w Jugosławii, muszą od czasu do czasu oderwać się od okropności tamtej wojny. Kiedy John spytał, czy nie chciałbym go zastąpić, wydało mi się to chwilowo lepsze niż powrót do Jugosławii. I dlatego tu jestem.

- Przyjechał pan na sześć miesięcy?

- Na razie tak. Ale jest jeszcze kwestia zdrowia Johna. On mnie potrzebuje.

- Jak się zaprzyjaźniliście?

- Tragedia rodzinna sprzed lat. John Forrester był pierwszym lekarzem, który zjawił się na miejscu wypadku mojego brata, a kiedy przyleciałem z rodzicami z Australii, czekał na nas z żoną na lotnisku. Zawieźli nas do siebie i gościli aż do wyjazdu. Od tego czasu utrzymujemy stałe kontakty.

Cassandrze zaschło w gardle. Dziękowała Bogu, że w samochodzie jest ciemno, bo inaczej Bevan dostrzegłby, jak bardzo jest przejęta.

Oto znowu przeszłość kładzie się ponurym cieniem na jej życie, które ostatnio było tak słoneczne.

Była całkowicie zaskoczona tym, że doktora Johna coś łączy z rodziną Darrena. Oczywiście wówczas go nie znała, bo nie

mieszkała w tej miejscowości. Wynajmowała pokój w pobliskim mieście. Nigdy nie mówiła mu, kto jest ojcem Marka, więc nie miał powodu, by rozmawiać z nią na temat tamtego wypadku. Poczula, że zaczyna ją oplątywać pajęczyna zdarzeń, z której nie będzie umiała się wyrwać.

- John pomógł mi wtedy - ciągnął Bevan - więc cieszę się, że mogę mu się teraz odwdziżyć.

Cassandra kiwnęła głową, wciąż nie mogąc wydobyć głosu. Gdy dotarli do placu w środku miasteczka, sięgnęła ręką do klamki i powiedziała:

- Wysiądę tutaj. Stąd mam tylko kilka minut do domu.

Zatrzymał samochód i spojrzał na nią spod zmarszczonych brwi.

- O co chodzi, Cassandro? Czy z powodu dawnych przeżyć jest pani wrogo nastawiona do wszystkich mężczyzn, czy ma pani coś tylko przeciwko mnie?

Rozzłościło ją to. Dlaczego wtrąca się w cudze sprawy, i to już od pierwszego dnia?

- Jeśli chce pan zasugerować, że znenawidziłam mężczyzn dlatego, że jeden z nich porzucił mnie, kiedy zaszłam w ciążę, muszę stanowczo zaprzeczyć. To byłoby niepoważne.

- Więc chodzi o mnie?

- Tego nie powiedziałam.

Do samochodu wpadało światło latami ulicznej. Bevan spojrzał na nią uważnie i spytał:

- Czy myśmy się kiedyś przypadkiem nie spotkali?

Znowu ogarnął ją niepokój. Gdy była przy nim, czuła się, jakby szła przez pole minowe.

- Nie, nigdy - zapewniła go szybko.

- Pracowałem w wielu szpitalach.

Jej napięcie ustąpiło, gdy uzmysłowiła sobie, że nie miał niczego szczególnego na myśli. Zaciekawiona jego ostatnią informacją, spytała:

- Jaką ma pan specjalność?
- Jestem pediatrą. Dlatego pojechałem do Bośni. Podczas wojny dzieci cierpią najbardziej.
- Jest pan pediatrą, a pracuje pan jako lekarz ogólny? - spytała ze zdziwieniem.
- A jednak udało mi się uzyskać pani aprobatę.
- Oczywiście! Lekarz ogólny mający dodatkową specjalizację jest wiele wart!
- A w pani szpitalu?
- Jest bezcenny - odparła z uśmiechem.

Uruchomił silnik. Spojrzała na niego pytająco.

- Proszę zapiąć pas. Zawiozę panią do domu.

Zanim zdążyła zaprotestować, dodał:

- Proszę się nie bać, że będzie mnie pani musiała zapraszać do siebie. Nie mam zwyczaju wchodzić tam, gdzie nie jestem mile widziany.

Gdy chwilę później wysiadła z samochodu, powiedział:

- Dobranoc, Cassandro. Mam nadzieję, że kiedyś się do-
wiem, czym się pani naraziłem.

Odjechał, zostawiając ją z poczuciem winy. Gdy weszła do domu, Mark oglądał telewizję. Nie odrywając wzroku od ekranu, spytał:

- Słyszałem samochód. Ktoś cię podwiózł?
- Tak. Doktor Marsland - odparła zdawkowo.
- On? To świetny facet! - zawołał z entuzjazmem. - Kiedy graliśmy w rugby, przyszedł popatrzeć. Widział, jak zaliczyłem przyłożenie. Wiesz, że on kiedyś grał w australijskiej lidze?

- Pierwsze słyszę- oznajmiła i usiadła w najbliższym fotelu. Czego jeszcze się dowie o tym „supermanie”?

- Nie mógł z nami zagrać, bo miał operację po tym, jak walczył z Serbami.

- Kto ci to powiedział?

- Jeden nauczyciel.

- To mylił się. Bevan Marsland był w Bośni jako lekarz, a nie jako najemnik - wyjaśniła poirytowanym tonem.

Mark spojrzął na nią z zaskoczeniem.

- W porządku, mamo, nie denerwuj się. Obojętne kim tam był, i tak jest to fajne.

- I bardzo niebezpieczne - odparła poważnie.

- Dlaczego on cię przywiózł?

- Przyjechał odwiedzić doktora Johna. Wyszliśmy razem i zaproponował, że mnie odwiezie.

- Czy mogłabyś go zaprosić, na przykład na kolację, żebym mógł się kolegom pochwalić, że go znamy?

No i masz ci los! Chciała odizolować Marka od Bevana, a on uważa go za swego idola. Jak się poczuje, gdy się dowie, że Bevan jest jego wujkiem? Pewnie się ucieszy, ale nie ma żadnej gwarancji, że jego radość będzie odwzajemniona. Jest to mało prawdopodobne, zważywszy na to, jak ją potraktował w czasie pogrzebu Darrena.

Mark czekał na jej odpowiedź.

- Nie. Nie zaproszę go na kolację. Nie chcę mieszać pracy z życiem prywatnym.

- Ale przecież on z tobą nie pracuje!

- Tak ci się wydaje? Ja bez przerwy się spotykam z lekarzami w Springfield.

Cassandra źle sypiała od dnia, w którym Bevan zjawił się w szpitalu, ale dzisiejsza noc była najgorsza. Nie zmrużyła oka, bo w jej głowie kłębiły się najróżniejsze myśli. Bevan poznał Johna Forrestera na skutek śmierci Darrena, a zanim pojechał do Bośni, pracował jako lekarz w medycznej służbie powietrznej. A poza tym był ligowym zawodnikiem rugby.

Musiała to wszystko przemyśleć. Na dodatek odkrycie, że Mark może się za jej plecami zaprzyjaźnić z Bevanem, było równie niepokojące, jak przyczyna przyjaźni Bevana z doktorem Johnem.

Wszystko to wyglądało, jakby było z góry ukartowane. Ale przecież nie miała wątpliwości, że Bevan jej nie poznał. Gdy zatrzymali się na rynku, spytał co prawda, czy już się kiedyś spotkali, lecz stało się jasne, że nie skojarzył jej sobie z pogrzebem brata. Więc to po prostu los się na nią wziął i sprowadził go do Springfield?

Usiadła i uderzyła pięścią w poduszkę. Nie chciała, by Mark polubił tego człowieka, ale zdawała sobie sprawę, że może on zaimponować młodemu chłopcu.

Obiektywnie rzecz biorąc, Bevan jest człowiekiem odważnym, o silnej osobowości. Ma zalety, których nie miał Darren: jest stanowczy, wrażliwy, troskliwy. Nagle poczuła żal, że to nie on jest ojcem Marka. Ma wszystkie cechy idealnego ojca... i męża. Nawet ona, tak niesprawiedliwie przez niego oskarżona - czego nigdy mu nie zapomni - dziś w samochodzie tak dalece była pod jego urokiem, że nie oparłaby się, gdyby tylko wyciągnął do niej rękę.

Na myśl o tym, co mogłoby się zdarzyć, gdyby Bevan jej dotknął, Cassandrze zrobiło się gorąco. Odrzuciła kołdrę, wstała i podeszła do okna.

W oddali, na tle rozświetlonego księżycem nieba, widniał zarys budynku przychodni. W jednym z górnych okien paliło się światło. Czyżby Bevana dręczyła bezsenność? A może przygotowuje sobie posiłek albo robi pranie...

Obojętne co robi, to nie mój interes, uznała, ale jej myśli biegły własnym torem i uzmysłowiła sobie, że chociaż jest taki przystojny i odważny, nie widać w jego życiu śladu kobiety.

A może nie potrafi zdobyć względów płci przeciwnej? Nie, to chyba nie to. Przecież musiał w swoich podróżach poznać wiele kobiet, które były dużo ładniejsze i znacznie bardziej interesujące niż obarczona dzieckiem, prowincjonalna pielęgniarzka.

W poniedziałek rano dziewczyna, dyżurująca na oddziale nagłych wypadków, zadzwoniła do Cassandry z wiadomością, że jeden ze starszych mieszkańców Springfield przywiózł żonę w stanie skrajnego wyczerpania, spowodowanego niezwykle silnym bólem głowy.

- Dlaczego nie pojechał z nią najpierw do lekarza ogólnego?
- spytała Cassandra. - To on powinien kierować pacjentów do szpitala, jeśli uzna to za konieczne.

- Tak, ale mąż powiedział, że oni zawsze leczyli się u Johna Forreстера i nie chcą, żeby ją badał ten nowy.

- Proszę im powiedzieć, że musimy posłać po doktora Marslanda, bo takie obowiązują tu przepisy, ale proszę ich zapewnić, że nie jest to początkujący lekarz. Ma specjalizację z pediatrii i spędził rok, lecząc chorych i rannych w Bośni.

- A ponadto jest najprzystojniejszym mężczyzną spośród wszystkich, jakich widywało się w Springfield - odparła dziewczyna wesoło. - Jeśli tylko zechce, w każdej chwili pozwolę mu

się zbadać. Ale na razie zapominam o marzeniach i lecę przekazać starszkom dobre nowiny.

Wezwany telefonicznie Bevan zjawił się po piętnastu minutach.

- Gdzie jest chora?
- Na oddziale urazowym.

Poszli tam razem i gdy Bevan badał pacjentkę, Cassandra stała obok niego. Gdy skończył, wstał z poważnym wyrazem twarzy i odwołał ją na bok.

- Tętnica skroniowa jest nabrzmiąta, a powierzchnia głowy wrażliwa na dotyk. Myślę, że to zapalenie tętnicy skroniowej, co może spowodować ślepotę, jeśli natychmiast nie zareagujemy. Pozwoli pani, że skorzystam z telefonu w pani pokoju? Muszę zadzwonić do kliniki, na oddział neurologiczny.

Poszedł tak szybko, że ledwo za nim nadążyła.

- Nie jestem neurologiem - mówił przez telefon - ale uważam, że pacjentkę musi zbadać któryś z waszych specjalistów. Nie znam tutejszych zwyczajów, więc proszę mi powiedzieć, czy mamy ją przewieźć do was na badania, czy wy wyślecie kogoś do nas? W porządku. Przywieziemy ją.

Odłożył słuchawkę i zwrócił się do Cassandry:

- Natychmiast musimy mieć karetkę. Czy jakaś czeka pod szpitalem, czy musimy dzwonić do bazy?

- Właśnie jedna przywozła z kliniki pacjentów po operacji. Za chwilę wraca.

- Proszę powiedzieć, żeby poczekali na chorą.

Starsza pani zbladła, gdy usłyszała, że ma pojechać do kliniki, a jej mąż zaprotestował:

- Czy to potrzebne? Przecież to tylko ból głowy. Doktor John załatwiłby to na miejscu.

Cassandra zamarła. Jak Bevan zareaguje na coś takiego? Ale on nawet nie mrugnął okiem.

- Niestety jest chory, więc muszą państwo zadowolić się moją diagnozą. Karetka czeka, proszę.

Wyprowadził ich na dwór.

- Jak trudno jest zająć czyjeś miejsce - mruknął, gdy wrócił do środka.

Cassandra zaczerwieniła się. Nie akceptują go ani pacjenci, ani personel. Poczula się winna. Ale z drugiej strony, sądząc po entuzjazmie młodej pielęgniarki, nie cały personel jest mu przeciwny. W głębi serca czuła, że gdyby nie był bratem Danena, ona też stanęłaby po jego stronie.

- Napije się pan kawy? - spytała, widząc, że jest równie zmęczony jak ona.

Uśmiechnął się i odparł z ciepłą ironią:

- Więc goszczenie mnie tu, w szpitalu, jest bezpieczne, a gdzie indziej nie? Myśli pani, że wczoraj wieczorem chciałem panią uwieść?

ROZDZIAŁ TRZECI

Kiedy młoda pielęgniarka przyniosła kawę, Bevan wypił ją z widoczną przyjemnością.

- Jadł pan śniadanie? - spytała Cassandra tonem, którym zwykle w podobnych sytuacjach zwracała się do Marka.

Spojrzał na nią zaskoczony.

- Nie. A ma pani tu gdzieś zapas jajek i bekonu oraz schowany w szafce prymus?

Pożałowała swego spontanicznego pytania i odparła z irytacją:

- Nie mam aż takich ambicji, ale w bufecie jeszcze wydają śniadania dla personelu i gości.

Spojrzał na zegarek.

- Chyba nie zdążę.

- Jeśli pan nie zje śniadania, to zadzwonię do pańskiego lekarza.

- On mieszka w Australii - uśmiechnął się. - Chyba będzie taniej, jeśli pójdę na to śniadanie. A potem zbadam Toma Masona, tego po udarze. Jak się dziś czuje?

- Bez zmian. Problem w tym, że w jego wieku fizjoterapia mało pomaga, chociaż Jean Baird potrafi czynić cuda z pacjentami. A teraz proszę mi wybaczyć, ale muszę już iść, bo zaraz zjawia się inni lekarze. Wśród pacjentów jest ko-

bieta cierpiąca na chroniczną astmę i muszę sprawdzić, jak się czuje. Dostała maskę tlenową i dożylnie aminofilinę, co zmniejszyło duszności, ale spowodowało nudności i zawroty głowy.

Wyszedł razem z nią. Patrząc na świeżo pomalowane ściany, lśniące podłogi i parapety okien pełne doniczek z kwiatami, powiedział:

- Jeszcze nic nie wiem o sprawach organizacyjnych. Kto utrzymuje ten zakład?

- Główną część kosztów pokrywa okręgowy wydział zdrowia. Lekarze odwiedzający tutaj pacjentów opłacani są z funduszy przeznaczonych na lekarzy domowych, a w krytycznych sytuacjach pomaga nam Towarzystwo Przyjaciół Szpitala Springfield, organizując imprezy dobroczynne.

- Rozumiem.

- Wkrótce będziemy mieli inspekcję, która zadecyduje o dalszych losach szpitala. Przygotowujemy się do niej od miesięcy - oznajmiła, widząc jego zainteresowanie. W tym samym momencie uświadomiła sobie, że jednak mają płaszczyznę porozumienia: zawodową. W innych sprawach różnili się jak ogień i woda. - Na szczęście Joan, nasza dyrektorka, wróci przed przybyciem komisji. Dwa lata temu otrzymaliśmy status szpitala państwowego, a teraz komisja ma stwierdzić, czy można nam przedłużyć licencję.

- Kto wchodzi w skład tej komisji?

- Dyrektor innego szpitala, lekarz ogólny i kierownik komisji, od lat prowadzący takie kontrole. Ale przedtem Joan będzie musiała wypełnić kwestionariusz liczący ponad sto stron.

- Więc wszyscy będą mieli pełne ręce roboty?

- Zawsze mamy pełne ręce roboty - powiedziała lekko ura-

żona. - Naszym pacjentom nie wyszłoby na dobre, gdybyśmy zajmowali się nimi tylko na pokaz.

- Kiedy przyjeżdża ta komisja?

- Za kilka tygodni.

Pożegnali się. Bevan poszedł na śniadanie, a ona na oddział.

Kończył się drugi tydzień pracy Bevana Marslanda w szpitalu. Cassandra z niecierpliwością oczekiwała przyjazdu Joan, która w sobotę miała wrócić z mężem z Kenii i od poniedziałku przystąpić do pracy. Będzie to dla niej początek zupełnie nowego życia, ponieważ ze swego panińskiego, wygodnego mieszkanka w mieście będzie musiała się przenieść do wielkiego domu w stylu farmerskim pod Springfield. Jednak Cassandra nie miała wątpliwości, że Joan będzie tam równie dobrą gospodynią jak w szpitalu w Springfield.

Od poniedziałkowego spotkania natknęła się na Bevana kilka razy, ale zawsze asystowała któremuś z lekarzy, a Bevanowi pomagała jedna z młodszych pielęgniarek.

Na oddziale neurologicznym w klinice potwierdzono jego diagnozę zapalenia tętnicy skroniowej i poinformowano, że pacjentce zaordynowano silną dawkę kortykosteroidu, by zapobiec ślepotcie. Na razie leczenie wydaje się skuteczne.

Nie rozmawiała o tym z Bevanem, ale domyślała się, że musi odczuwać satysfakcję, wiedząc, że jego szybka reakcja przyczyniła się do uratowania wzroku tej kobiecie.

Pewnego dnia przy kolacji Mark powiedział, że doktor Marsland znowu był na ich szkolnym boisku.

- Dziwi mnie, że znajduje na to czas - rzekła Cassandra poirytowanym tonem.

- Pan od WF-u spytał go o jego kontuzję i on powiedział, że

wyjęli mu duży kawałek żelaza z ramienia i drugi z nogi, dlatego nie może się do nas przyłączyć - ciągnął Mark, nie zwracając uwagi na irytację matki.

Cassandra westchnęła. Dlaczego Bevan Marsland interesuje się właśnie ulubionym sportem jej syna? Mógłby grać w krykieta, tenisa czy golfa i na Marku nie robiłoby to wrażenia, ale rugby było dla chłopca wszystkim.

Na tym jednak sprawa się nie skończyła.

- Podwiózł mnie do domu! - oznajmił Mark z triumfującym uśmiechem.

Cassandra zamarła. O co Bevanowi chodzi? Dlaczego zachowuje się wobec nich jak szofer?

- Co mówił?

- Nic takiego. Pytał mnie, czy stale mieszkam w tym miasteczku i czy mam jakichś krewnych.

Opanowała zdenerwowanie i spytała spokojnym tonem:

- Pytał o coś jeszcze?

- Nie. Ale powiedziałem mu, że chciałbym mieć rodzinę. Wszyscy koledzy mają braci, siostry, wujków, ciotcie... i ojców.

- Nigdy mi nie mówiłeś, że brakuje ci tego - powiedziała z konsternacją.

Roześmiał się, co ją trochę uspokoiło.

- Po co? Nie da się ich kupić w sklepie.

- Więc nie jest to dla ciebie takie ważne?

Mark zastanawiał się przez chwilę i jej lęk powrócił.

- Chyba nie - odparł wreszcie. - Ale kiedyś, kiedy pójdę na studia albo postanowię się ożenić, zostaniesz sama.

Uśmiechnęła się z ulgą.

- O to możesz się teraz nie martwić. Upłynie całe siedem lat,

zanim będziesz mógł studiować, a jeszcze więcej, zanim pomyślisz o ślubie.

- Ty nie wyszłaś za mąż? - spytał ze spuszczoną głową.
- Nie. I nie będę ci wyjaśniała dlaczego, dopóki nie dorosisz na tyle, żeby to zrozumieć - oświadczyła stanowczo.

Mark poszedł na górę do swojego pokoju, by posłuchać muzyki. Cassandra została na dole sama. Czuła się zażenowana i dręczyło ją poczucie winy.

To wszystko przez Bevana Marslanda! - pomyślała ze złością. Gdyby nie zachował się tak okropnie na pogrzebie Darrena, mogłaby powiedzieć jego rodzicom, że nosi dziecko ich syna. A teraz Bevan tu przyjechał, wtrąca się w ich życie i przeszkadza jej jak może. Dlaczego ze wszystkich chłopców w miasteczku upatrzył sobie właśnie Marka?

Jednak czy ona sama jest w porządku wobec syna, nie pozwalając mu mieć rodziny, nawet gdyby Marslandowie nie chcieli na niego spojrzeć? Może jest samolubna, nie dając rodzicom Darrena możliwości zdecydowania, czy chcą utrzymywać jakikolwiek kontakt z jego nieślubnym dzieckiem? Ale przecież miała powód, by tak postąpić. Bevan dał jej odczuć, że jest dla niego nikim. Zrozpaczona uznała, że ciąża jest wyłącznie jej własnym problemem.

- Dość! - krzyknęła w pustym pokoju. - Darren zapłacił za swoją głupotę, a ja za swoją. Nie pozwolę, żeby następny Marsland znowu zniszczył mi życie.

Gdy Joan wróciła do pracy, serdecznie przywitała się z Casandrą. Była wypoczęta, szczęśliwa i tak opalona jak Bevan. Na pytanie, czy podróż poślubna była miła, odparła:

- Wspaniała.

- A czy na farmie przez ten czas nic złego się nie stało?
- Nie. Zastaliśmy wszystko w idealnym porządku - uśmiechnęła się Joan. - Miałam ochotę zostać i pomóc Billowi nadzorować dojenie krów, ale doszłam do wniosku, że skoro przez tyle lat obywatel się beze mnie, to i tym razem sobie poradzi.

Przejrzała papiery, leżące na jej biurku.

- A teraz opowiedz mi, co się tu działo pod moją nieobecność, nie pomijając choroby Johna Forreстера ani przyjazdu tego zastępcy, którego John wystraszył nie wiadomo skąd.

- Kilka tygodni temu doktor John miał atak serca. Czuje się coraz lepiej, niemniej zdaje sobie sprawę, że jest to poważne ostrzeżenie, i ma zamiar przejść na emeryturę. Ten nowy lekarz, jego znajomy, przyjechał tu na sześć miesięcy. W tym czasie doktor John chce sprzedać gabinet.

- A ten nowy by go nie kupił?
- Nie sądzę. To nie jest typ człowieka, któremu odpowiadałaby spokojna praca na prowincji. Pracował w medycznej służbie powietrznej w Australii, a potem pojechał do Bośni, gdzie został ranny.

- Poważnie? Jak się nazywa?

- Bevan Marsland.

Joan podniosła wzrok znad papierów.

- Czyżby to był jakiś krewny ojca Marka?

Ależ ona ma pamięć! - jęknęła Cassandra w duchu.

- To jego starszy brat.

- Ten, który tak cię potraktował na cmentarzu?

- Tak.

- A wie, kim jesteś?

- Nie, nie sądzę. A właściwie jestem pewna, że nie wie.

- Jesteś więc w trudnej sytuacji?

- Nie z mojej winy.

- Oczywiście, ale co będzie, jeśli się dowie?
- Usłyszysz kilka słów prawdy.
- A nie przyszło ci do głowy, że mógłby się ucieszyć z tego, że ma bratanka, a jego rodzice wnuka?
- Przyszło, zwłaszcza że Mark go bardzo lubi, ale nie mam zamiaru przekreślić wszystkiego, na co tyle lat pracowałam. Będę się zachowywała jak gdyby nigdy nic, w nadziei, że jakoś przetrzymam te sześć miesięcy. Tylko że wszędzie, gdzie jest Mark albo ja, tam ni stąd, ni zowąd zjawia się on. Przez niego prawie nie wychodzę z domu.
- Jak się z tym czujesz?
- Okropnie. Ale nie mówmy już o mnie. I bez moich problemów masz teraz dość pracy. Spotkamy się na lunchu, dobrze?
- Dobrze. A przez ten czas postaram się poznać doktora Marslanda i potem powiem ci, co o nim myślę.
- Na pewno zrobi na tobie wrażenie. Jest przystojny i pracowity, a poza tym to dobry lekarz. Ma specjalizację z pediatrii. I co ty na to?
- Co ja na to? Toż to skarb dla Springfield!

Idąc korytarzem przychodni, Cassandra spostrzegła Bevana, który nadchodził z przeciwnej strony. Był ubrany w ciemny sweter, białą koszulę i szare, wełniane spodnie. W jednej ręce trzymał skórzaną teczkę i stanowiłby idealny obraz eleganckiego mężczyzny, gdyby nie jeden szczegół, psujący cały efekt: w drugiej ręce trzymał bułkę z bekonem.

Serce zabiło jej szybciej, jak zawsze w jego obecności, co - niestety - nie wynikało jedynie z tego, że był bratem Darrena. Przede wszystkim budził w niej dawno uśpione uczucia.

Oczywiście, zatrzymał się na jej widok.

- Byłoby lepiej, gdyby dyrektorka nie zobaczyła, że chodzi pan z bułką po salach - ostrzegła, nie mogąc wymyślić nic innego.

- Już wróciła? W porządku, proszę się nie martwić. Zjem to, zanim się z nią spotkam. I proszę nie zapominać, że to pani namówiła mnie tu kiedyś na śniadanie.

- Powinien pan znaleźć sobie kogoś, kto by się zajął pana domem.

- A gdzie mam szukać?

- Skąd mam wiedzieć? Wydaje mi się, że podjęłyby się tego połowa żeńskiego personelu tego szpitala.

- Ale nie pani?

- Nie, ja nie! - odparła ostro, po czym, chcąc rozładować atmosferę, dodała: - Mam na głowie syna, dom i pracę. Często doba jest dla mnie za krótka.

- Pani syn znakomicie gra w rugby - oznajmił.

- Podobno w czasie treningów stoi pan koło boiska i dopinguje go.

Uniósł brwi.

- Ma pani coś przeciwko temu?

- Nie - skłamała - dopóki nie zacznie mu pan podsuwać jakichś szalonych pomysłów.

- Na przykład jakich?

- Takich, które sprawią, że zacznie dopytywać się o rzeczy, które go wcześniej nie interesowały.

- Nic nie rozumiem - westchnął. - Więc jak powinienem się zachowywać?

- Nie mam teraz ochoty rozmawiać o szczegółach. Proszę to zjeść, zanim ktoś zauważy - dodała, wskazując bułkę, po czym poszła w stronę sali operacyjnej.

Na korytarzu przy sali zadzwonił telefon. Kiedy Cassandra

podniosła słuchawkę, usłyszała głos rejonowej pielęgniarki, która odwiedzała swych pacjentów w domu i chciała mówić z doktorem Bevanem.

Czy ten człowiek musi mnie prześladować na każdym kroku?
- pomyślała Cassandra. Nie chcąc mieć z nim do czynienia, poprosiła o poszukanie go praktykantkę, a w chwilę później natknęła się na niego ponownie.

- Muszę przyjąć pacjenta, siostró - oznajmił. - Mamy wolne łóżko?

- Na którym oddziale? Ogólnym czy geriatrycznym?

- Wolałbym separatkę, jeśli to możliwe.

- Dobrze. Kiedy ma być gotowa?

- Za pół godziny.

- W porządku. Co to za przypadek?

- Rejonowa pielęgniarka została wezwana do domu pacjentki, którą badał John w dniu, gdy sam został zabrany do szpitala. Przeciął jej wtedy wrzód.

- Tak, pamiętam. Zabieg był rano, a po południu John miał zawał. O co tym razem chodzi?

- Właśnie się dowiedziałem, że pacjentka jest teraz cała pokryta wrzodami. Musimy ją szybko zbadać.

Gdy przywieziono chorą i umieszczono ją w izolatce, Bevan i Cassandra rozpoczęli oględziny. Gdy skończyli, wstał z niewesołą miną.

- Dolna część ciała pokryta drobnymi ropniami. Albo jest to jakaś wyjątkowo ostra alergja, albo syndrom Hioba, bardzo rzadko spotykany.

- Syndrom Hioba?

- Tak. Nazwa pochodzi od biblijnego Hioba, od stóp do głów pokrytego czyrakami.

- I ona właśnie ma coś takiego?
- Tak to oceniam, chociaż w jej przypadku zaatakowana została tylko dolna połowa ciała. Niemniej jest to bardzo bolesne i musimy jej pomóc. Pobiorę jej krew do analizy. Wtedy się okaże, czy to rzeczywiście syndrom Hioba, czy coś innego. Na razie podamy jej silny antybiotyk.

Jakiś czas później przyszedł do Cassandry Mike Drew i zebrał się na odwagę, spytał:

- Czy możesz mi poświęcić jedną chwilkę?
- Oczywiście - uśmiechnęła się. - Ale tylko jedną, bo mam masę pracy.
- Towarzystwo Przyjaciół Springfield organizuje zabawę - powiedział, spuszczać wzrok. - Czy miałabyś ochotę pójść ze mną?

Nie była zaskoczona tą propozycją. Od jakiegoś czasu wycozuwała w jego zachowaniu, że mu się podoba, jednak choć lubiła tego nieśmiałego lekarza, w zwykłych okolicznościach uprzejmie by mu odmówiła. Był sympatyczny, ale nie tęskniła za jego towarzystwem i nie chcąc sobie komplikować życia, wołała, by pozostali kolegami.

Niestety, pojawienie się Bevana Marslanda zmieniło dotychczasowy porządek rzeczy. Może przyjazne zaproszenie od człowieka, który nigdy nie stanowił dla niej zagrożenia, pomoże jej oderwać się od przykrych myśli?

- Chętnie - odparła. - Ale to dopiero za miesiąc, prawda? Jeszcze będziemy mieli okazję porozmawiać o tym. A teraz przepraszam cię, ale muszę już iść.

- Tak, oczywiście... - wykrztusił, nie ukrywając radości. - Jeszcze o tym porozmawiamy.

- Ten zły starszy brat był u mnie przedstawić się - powiedziała Joan, gdy spotkały się na lunchu.

- No i...? - Cassandra z uwagą spozjrzała na przyjaciółkę.

- Muszę przyznać, że zrobił na mnie duże wrażenie.

- W tym kłopot. Na mnie też - skostatowała Cassandra ponuro.

- Gdyby nie był bratem Darrena, chętnie zabawiłabym się w swatkę. Oczywiście, jeśli nasz doktor Marsland nie ma żony albo narzeczonej.

- Zdaje się, że nie. Nic o tym nie wspominał. Ale z drugiej strony jest zbyt przystojny, żeby był samotny.

- Jeśli jest w jego życiu jakaś kobieta, prędzej czy później dowiemy się o tym.

Cassandra, chcąc zmienić temat, spytała:

- Słyszałaś o syndromie Hioba?

- Czy to ma związek z czyrakami?

- Tak.

- A czemu pytasz?

- Bevan przyjął dziś pacjentkę, która prawdopodobnie na to cierpi.

- Poważnie? No cóż, tak jest właśnie w służbie zdrowia. Nigdy bym się tego nie spodziewała... A skąd on wie, że to właśnie to?

- Nie wiem, chyba już się z tym zetknął. To niezwykle człowiek, ma taką rozległą wiedzę...

- Widzę, że zaraz się zapiszesz do klubu jego wielbicielek - roześmiała się Joan.

- Co to, to nie. Wystarczy, że Mark uważa go za idola.

Dwa tygodnie później, w ciepły wiosenny wieczór, Cassandra pojechała do szkoły Marka na wywiadówkę. Zawsze starannie

ubierała się na tę okazję. Dziś włożyła beżowy kostium, beżowe buty na wysokim obcasie i kremową, jedwabną bluzkę. Rozpuściła i wyszczotkowała włosy, które złocistą kaskadą spłynęły jej na ramiona.

Z Markiem nigdy nie miała kłopotów. Nie był wybijającym się uczniem, ale nie miał problemów z żadnym przedmiotem. Jednak tym razem wychowawca oświadczył, że Mark zaczął się ostatnio nieco opuszczać w nauce.

- Od kilku tygodni jest jakiś rozkojarzony, nie może usiedzieć na miejscu. Czy w domu pojawiły się jakieś problemy? A może w jego życiu zaszły jakieś gwałtowne zmiany?

Cassandra spuściła oczy. Nie miała zamiaru wyznawać obcemu człowiekowi, że po raz pierwszy w życiu Mark odczuł brak ojca, a powodem tego było poznanie człowieka, który stał się dla chłopca wzorem. Nagle zapragnęła, by Bevan wyjechał na koniec świata. Nauczyciel jednak czekał na odpowiedź.

- Myślę, że Mark ostatnio nie może się skupić na lekcjach, bo za dużo myśli o sporcie. W domu nie mamy żadnych problemów, a jedyną większą zmianą w jego życiu jest to, że spotkał człowieka, który bardzo go zachęca do grania w rugby.

- A, rozumiem - uśmiechnął się wychowawca. - To u nas powszechne zjawisko od czasu przyjazdu naszej australijskiej sławy. Obie drużyny, seniorów i juniorów, lubiły grać w rugby, ale od kiedy kibicuje im sam Bevan Marsland, trudno się dziwić, że myślą tylko o graniu. Nawiasem mówiąc, pan Marsland przyszedł dziś do nas. Powiedział, że chętnie porozmawia ze wszystkimi rodzicami, którzy chcieliby się czegoś dowiedzieć o predyspozycjach sportowych ich dzieci. Gdyby pani chciała wpaść do niego i porozmawiać o Marku, to jest w sali numer cztery.

Cassandra wstała, chwytając torebkę i rękawiczki. Nie miała

najmniejszego zamiaru nigdzie „wpadać”, żeby zobaczyć się z Bevanem! Pożegnawszy się szybko z nauczycielem, pospieszyła ku wyjściu. Właśnie zaczęto podawać kawę. Chętnie posiedziałyby i porozmawiała z rodzicami kolegów Marka, ale nie teraz, gdy lada chwila mógł się pojawić ten „zły starszy brat”.

- Dokąd się pani tak spieszy? - usłyszała, gdy na nie oświetlonym dziedzińcu szukała w torebce kluczyków do samochodu.

Odwróciła się i ujrzała Bevana, stojącego z filiżanką kawy w dłoni. Nie widziała jego twarzy, ale rozpoznała go po głosie i po widocznej na tle jasnego okna sylwetce.

- Niosłem pani kawę, kiedy zobaczyłem, że pani wychodzi - powiedział z łagodnym wyrzutem.

- Obserwował mnie pan?

- Nie bardziej niż innych - odparł, wzruszając ramionami.

Wyciągnął ku niej filiżankę.

- Wypije pani?

- Tu, na dworze?

- Możemy wrócić do środka.

- Po co? Już rozmawiałam z nauczycielami Marka.

- I jak?

- Nieźle, chociaż usłyszałam, że ostatnio jest rozkojarzony.

- Dlaczego?

- Jakby pan nie wiedział!

- Chce pani powiedzieć, że to przeze mnie?

- Właśnie! Odciąga go pan od nauki.

Bevan postawił filiżankę na parapecie najbliższego okna i podszedł do niej. Gdy ich ciała niemal się zetknęły, rzekł z powagą:

- Myślę, że jedenastoletni chłopiec potrzebuje towarzystwa mężczyzny o podobnych zainteresowaniach.

- Tak pan myśli? - zawołała. - A co będzie potem, kiedy ten koczownik pojedzie dalej?

Nie zwracając uwagi na jej oskarżenie, powiedział:

- Myślę, że oboje potrzebujecie mężczyzny.

- Jak pan śmie! - wybuchnęła i, choć w normalnych okolicznościach zachowywała się bardzo kulturalnie, teraz rzuciła się na niego z pięściami.

Chwycił ją za nadgarstki, przyciągnął do siebie i spytał cicho:

- Dlaczego, Cassandro? Boisz się, że mogłoby ci się to spodobać?

Trafił w sedno. Oczywiście, że się tego bała Drętwiąta z przerażenia na samą myśl o tym, bo mogłaby to polubić do tego stopnia, że przestałaby być panią siebie. Nie wrywała się jednak Bevanowi. Bliskość jego ciała była tak cudowna, że gdy ją objął i dotknął ustami jej rozchylnych warg, zapomniała o swych obawach tak, jak o filizance stygnącej na parapecie kawy.

Najpierw całowali się bardzo delikatnie, a po chwili zapomnieli o całym świecie.

Nagle oświetlił ich snop światła z otwierających się drzwi i na dziedziniec wyszła grupa rodziców. Roześmiani, wesoło komentowali oceny swych dzieci.

Cassandra wyrwała się z objęć Bevana, otworzyła samochód i szybko wsiadła do środka, ale zanim zatrzasnęła drzwi, on nachylił się i spojrzał na jej pobladłą twarz.

- Nie bój się tak. W końcu oboje jesteśmy wolni. Nikogo nie krzywdzimy. Właściwie można nawet powiedzieć, że wręcz przeciwnie.

- Dlaczego? - spytała przez łzy.

- Sama się musisz domyślić, Cassandro.

Zatrzasnął drzwiczki, odwrócił się i wrócił do szkoły.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Pacjentka z ropniami została zatrzymana w szpitalu do czasu zadziałania antybiotyku. Potem dzień po dniu odwiedzała przychodnię, ponieważ Bevan chciał być pewien, że infekcja się nie rozwija.

Gdy nadeszły wyniki analizy, stało się jasne, że nie chodzi o syndrom Hioba. Wykwity miały naturę alergiczną, a ponieważ kobieta w przeszłości skarżyła się na tę przypadłość, diagnoza była wiarygodna.

Tego dnia Bevana w połowie dyżuru w przychodni wezwano do poważnie chorego, więc Cassandra sama musiała wyjaśnić pacjentce, co ją czeka.

- Doktor Marsland chce, by panią przebadano w klinice alergologicznej. Może tam odkryją, co spowodowało owrzodzenie, bo nam nie udało się znaleźć przyczyny. Proszę zgłosić się na badania w wyznaczonym terminie.

- Na pewno nie zlekceważę tych badań - powiedziała pacjentka. - Nie wytrzymałabym nawrotu choroby. Ten ból przechodzi wszelkie pojęcie!

Przed południem Tom Mason miał następny udar, którego nie przetrzymał. Patrząc na jego twarz, z której śmierć starła wszelkie ślady przygnębienia, Cassandra pomyślała, że Bóg zaoszczędził mu dalszych cierpień.

Pielęgniarki na oddziale geriatrycznym były troskliwe i pogodne, ponadto zawsze działo się tam coś, co rozpraszało szpitalną nudę: odwiedziny krewnych lub znajomych, cotygodniowa wizyta fryzjera, przybycie księdza lub pastora czy przyjazd wózka z zamówionymi przez pacjentów książkami. Dla osób, które fizycznie i umysłowo czuły się w miarę dobrze, pobyt w szpitalu był znośny. Ale dla sparaliżowanego człowieka każdy dzień był męczarnią, i Tom wreszcie się z niej wyzwolił.

Joan zadzwoniła do Bevana, prosząc go, by przyjechał i wypisał świadectwo zgonu. Gdy Cassandra ujrzała duży, brązowy samochód podjeżdżający pod bramę szpitala, postanowiła trzymać się od Bevana z daleka. Im więcej czasu upłynie od ich ostatniego spotkania do następnego, tym lepiej. Joan pomoże mu w dopełnieniu formalności - to należy do jej obowiązków.

W trakcie obchodu wciąż miała przed oczami dziedziniec szkoły i Bevana: proponuje jej kawę, podchodzi bliżej, obejmuje ją i udowadnia, że nie można się mu oprzeć.

Zdrowy rozsądek od początku nakazywał jej go unikać; z ich związku wynikłyby same kłopoty - co do tego nigdy nie miała wątpliwości. Ciepło, którym wczoraj napełniły ją jego pocałunki, było sygnałem poważnego zagrożenia. Żeby się nie poparzyć, trzeba się trzymać jak najdalej od płomienia, pomyślała.

Jej uczucie dla Darrena było młodzieńczym zauroczeniem. Od tamtego czasu przeszła samotnie długą drogę, ale sama tego chciała i czuła się z tym bezpiecznie.

Czy ma zaryzykować wszystko, co zaplanowała i wypracowała, tylko dlatego, że dotknięcie Bevana odbiera jej panowanie nad sobą?

Dzień był ciepły i ogród wyglądał przepięknie. Kwiaty odci-

nały się żywymi barwami od ziemi, ptaki skakały żwawo wśród traw, pacjenci spacerowali alejkami albo siedzieli na ławkach.

- Dzień dobry, siostró - usłyszała Cassandra, gdy skuszona sielskim widokiem wyszła do ogrodu zaczerpnąć świeżego powietrza.

Był to Gary Horton, portier, młody chłopak w dżinsach i bawełnianej koszulce, który jak zwykle przyszedł wcześniej, by przed pracą zająć się ogrodem. Młody portier z zapalem opowiadał o swojej córeczce, która wkrótce miała pójść do szkoły. Cassandra słuchała go, udając zainteresowanie. Po chwili zobaczyła Bevana, który wychodził z Joan ze szpitala.

Bez wątpienia Bevan uważał jej zachowanie za dziwne. Dowiodła tego jego uwaga, że oboje są wolni. Pewnie chętnie wykorzystałby tę sytuację, gdyby nie wiązało się to z żadnymi zobowiązaniami i gdyby ona przystała na taki układ.

W takim razie może tamta chwila nie znaczyła dla niego wiele, chociaż ona bardzo ją przeżyła. Wkrótce wszystko się wyjaśni.

Serce zaczęło jej bić mocniej. Bevan zaraz podejdzie i wyraz jego twarzy powie jej, co myśli o wczorajszym wieczorze. Chciała, by czuł to samo co ona - to, że pomiędzy mmi powstaje coś cudownego, że w końcu znalazła człowieka, którego może pokochać.

Bevan jednak nie podszedł do niej. Pożegnał się z Joan, wsiadł do samochodu i odjechał.

Nie wiadomo, czy widział ją, lecz Joan spostrzegła ją od razu i podeszła z zatroskanym wyrazem twarzy.

- Bill nie czuje się najlepiej - powiedziała. - Był pacjentem Johna Forreстера, więc poprosiłam Bevana, żeby pojechał na farmę i go zbadał.

- Co mu jest?
- Może grypa, ale poci się tak bardzo, że w nocy trzykrotnie zmieniałam pościel.

- To znaczy, że został w domu?

Joan westchnęła.

- Niestety, wstał o świcie. Wyglądał okropnie, nie mógł nic przełknąć i poszedł na farmę bez śniadania.

- Więc Bevan nie będzie go mógł zbadać?

- Dzwoniłam na farmę. Będą się starać namówić Billa, żeby wrócił do domu na badanie.

- Jedź do niego. Zajmę się wszystkim - powiedziała stanowczo Cassandra.

Joan wyraźnie się wahała.

- Nie. Skoro Bill upiera się pracować jak zwykle, nie mam po co zwalniać się z pracy. Ale pojadę w przerwie na lunch. Nie jadł śniadania, więc na pewno wpadnie do domu coś przekąsić.

Joan nie wróciła po lunchu do szpitala. Zadzwoiła do Cassandry z informacją, że Bill poczuł się tak źle, że sam wrócił do domu i położył się do łóżka. Tam zbadał go Bevan.

- Jest bardzo chory - powiedziała zatroskanym tonem. - Ma wszystkie objawy grypy, a na dodatek boli go głowa i plecy. Nie ma kompletnie siły. - Głos jej się załamał. - Zawsze mówię krewnym naszych pacjentów, żeby nie wpadali w panikę, a sama właśnie to robię, ale gdyby coś mu się stało, nie zniósłabym tego.

- Bevan to bardzo dobry lekarz - pocieszyła ją Cassandra.

- Niezależnie od tego, co o nim myślę prywatnie, zna się na swojej pracy i zawsze bierze pod uwagę wszelkie ewentualności.

- Masz rację. Pobrał Billowi krew do analizy, ale nie chciał

się ze mną podzielić swoimi obawami, więc będę musiała poczekać na wynik. Tylko że przecież nie bada się krwi przy zwykłej infekcji wirusowej. Co on podejrzewa?

- Może sprawdza, czy to nie jest coś, czym Bill zaraził się w Kenii.

- Tak, może... A nic nie mówi, żeby nas nie straszyć, zanim sprawdzi, czy się nie myli.

- Oczywiście - zapewniła ją Cassandra. - Na razie zostań w domu, dopóki Bill nie poczuje się lepiej.

Wczesnym wieczorem Mark wybrał się na urodziny do kolegi, Cassandra zaś wyszła do ogrodu kosić trawę. Było to pierwsze koszenie po zimie. Zawsze bardzo je lubiła, bo oznaczało ono, że zbliża się lato, tym razem jednak, pchając terkoczącą kosiarkę przed sobą, myślała o czymś innym.

Po powrocie do domu natychmiast zadzwoniła do Joan i usłyszała, że stan Billa nie uległ zmianie. Bill nadal zlewał się potem, nie chciał jeść i ogólnie czuł się okropnie.

- Przecież to był chodzący okaz zdrowia - mówiła Joan. - Nigdy w życiu nie był poważnie chory, a teraz całkiem zważyło go z nóg. Na razie Bevan przepisał mu antybiotyk, ale żadne z nas nie wierzy, że to jest grypa. W każdym razie nie jest to grypa, jaką znamy.

W głosie Joan brzmiał wyraźny niepokój.

Teraz Cassandra myślała o chorobie Billa, ale nie tylko: przed oczami stawały jej obrazy z poprzedniego wieczoru. Wciąż nie mogła pogodzić się z tym, co się wydarzyło pomiędzy nią a Bevanem. Oczekiwała, że dzisiaj Bevan coś powie na ten temat, ale wyjechał natychmiast po sporządzeniu świadectwa zgonu Toma i nie pojawił się więcej w szpitalu.

Nagle poczuła na ramieniu czyjaś dłoń. Odwróciła się przestraszona i zobaczyła przed sobą Bevana.

- Wyłącz to! - zawołał. - Krzyczałem do ciebie od furtki, ale nic nie słyszałaś. Ależ to hałasuje.

Posłusznie wyłączyła kosiarkę, spojrzała na niego podejrzliwie i spytała:

- W czym mogę ci pomóc?

- To dosyć skomplikowane - odparł z lekkim uśmiechem.

- Po co przyszedłeś?

Zachowywała się nieuprzejmie, ale musiała jakoś ukryć zmieszanie.

- Z dwóch powodów: pierwszy wiąże się ze stanem zdrowia męża waszej dyrektorki. Wiesz, że jest chory i że ona bardzo się tym przejmuje?

- Tak - odparła uspokojona, że nie przyszedł rozmawiać o nich. Cały dzień tego pragnęła, ale gdy stanął przed nią, nieoczekiwanie wpadła w panikę. - I rozumiem ją. Jest jego żoną dopiero od kilku tygodni i bardzo się kochają. Do czterdziestki nie wzięli się z nikim, czekając na swoje drugie ja, więc są sobie bardzo drodzy.

- Rozumiem - odrzekł poważnie. - Rzadko znajdujemy to, czego szukamy w innym człowieku, a kiedy wreszcie znajdziemy, cierpimy katusze, gdy nam się to odbierze.

- Przemawia przez ciebie doświadczenie? - spytała ostrożnie, czując, że taka chwila może się nie powtórzyć.

- Można tak rzec... Czternaście lat temu straciłem żonę i trzyletniego synka w katastrofie lotniczej. Samolot zepsuł się nad bezludnym obszarem Australii. Dwa dni trwały poszukiwania, a gdy go znaleźliśmy, okazało się, że zginęli wszyscy. Lorraine i Timothy wciąż siedzieli przypięci pasami, trzymając się za ręce.

- To straszne - szepnęła i zapagnęła objąć go i pocieszyć.
- Tak, to było straszne - potwierdził. - A zanim się pozbie-
rałem psychicznie po tej stracie, mój brat zginął... w wypadku.

Śmierć tylu najbliższych mu osób wyjaśniała ostre słowa, które skierował do niej wtedy na cmentarzu. Chciała go pocieszyć nie tylko z powodu utraty żony i dziecka, ale również dlatego, że, jak odkryła, bardzo jej na nim zależało.

Jednak wspomnienie śmierci Darrena sprowadziło ją na ziemię: pomiędzy nią a tym człowiekiem istnieje bariera nie do pokonania. Dalsze roztrząsanie tego problemu było ponad jej siły, więc ponownie skierowała rozmowę na temat męża Joan.

- Co jest Billowi Jarvisowi?

Pokręcił głową z wyrzutem.

- Przecież wiesz, że nie mogę ci powiedzieć. Nie byłoby to zgodne z etyką lekarską, ponieważ Bill nie jest pacjentem Springfield... Na razie.

- . - To znaczy?

- To znaczy, że mam kilka hipotez na temat jego choroby, a jedna z nich, jeśli się sprawdzi, pociągnie za sobą mnóstwo innych kłopotów. Wszystko się wyjaśni po nadejściu wyników.

- Mówiłeś, że przyszedłeś z dwóch powodów. Jaki jest ten drugi?

- Przyszedłem sprawdzić, jak się czujesz... po wczorajszym wieczorze.

- Doskonale - odparła, odwracając wzrok. - A czemu miałyby być inaczej?

Nagle poczuła irytację. Nie chciała jego współczucia. Chciała od niego usłyszeć, że jest atrakcyjna, że podoba mu się tak samo, jak on podoba się jej.

- Myślałem, że... Już nic.

- Myślisz, że żałuję tego? - spytała szorstko.
- No, tak... Coś w tym rodzaju.
- No to ci powiem. Tak. Żałuję. To, że mój syn bardzo cię lubi, nie znaczy, że ja też muszę. To była chwila zapomnienia. Nic więcej.

- Zapomnienia o czym? O bezpiecznej, ale wąskiej ścieżce, po której chodzisz i nie dopuszczasz do siebie normalnych uczuć, na przykład miłości?

- Miłość przeznaczyłam dla syna.

- Całą? To nie jest normalne.

- Ale masz tupet! Łatwo ci krytykować innych, ale może być czasem przyjrzał się sobie?

- Nie mam złudzeń co do moich wad - odparł spokojnie - ale przynajmniej potrafię dostrzec to, co widzę.

- A cóż takiego widzisz? - spytała stłumionym głosem, uzmysłowiwszy sobie, że rozmowa wkracza na coraz niebezpieczniejsze tory.

Dlaczego nie powiedzieć mu prawdy? - spytała się w duchu. Przecież gdy trzymał ją w ramionach, czuła się jak ktoś, kto po dalekiej podróży wrócił do domu.

Bevan jednak nie domyślał się jej uczuć.

- Widzę atrakcyjną kobietę, która odgrodziła się od świata wybudowanym przez siebie murem.

- Bzdura! To życie zmusiło mnie do pewnych ograniczeń, ale poza tym jestem taka sama jak każda kobieta.

- I masz odwagę przyznać, że było ci wczoraj dobrze?

Skrzywiła się. Że też on musi do końca doprowadzić śledztwo! I chociaż w jej myślach panował chaos, nie potrafiła skłamać.

- Tak. Wtedy było mi dobrze, ale teraz oprzytomniałam.

- To znaczy?
- Ledwo się znamy, to po pierwsze. A po drugie...
- To prawda - przerwał jej. - Oboje mamy pewnie ponure sekrety, których nie chcemy nikomu wyjawiać, chociaż sędzę, że ty wiesz o mnie wszystko. Jestem wdowcem, lekarzem i perfekcjonistą. Nie ukrywam żadnych tajemnic. A ty?

Cassandra zdjęła rękawice ogrodowe i nerwowo potarła dłońmi o dżinsy. Wiedziała, do czego Bevan zmierza. Ukrywała tylko jedną rzecz: tożsamość ojca Marka. Chciała powiedzieć Bevanowi prawdę, lecz strach przed jego reakcją sprawił, że słowa uwięzły jej w gardle.

- Takie tam drobiazgi, które by cię nie zainteresowały - mruknęła, patrząc gdzieś w bok.

Odwrocił ją tak, by musiała spojrzeć mu w oczy.

- Dlaczego nie chcesz, żebym sam to ocenił?

Pomyślała ze znużeniem, że on walczy o jej tajemnicę jak pies o kość. Wyrwała mu się, ale chwycił jej rękę. Rozejrzała się wokół niepewnie. Widać ich było ze wszystkich okolicznych domów i z ulicy. Do szczęścia brakowało jej tylko tego, żeby ją ktoś zobaczył w ramionach nowego lekarza!

- Wszyscy widzą ten ogród - powiedziała, usiłując zachować spokój.

- Chcesz powiedzieć, że jeśli nie będziemy się pilnować, tutejsze tam-tamy rozgłoszą po okolicy, że trzymałem cię za rękę? W takim razie wejdźmy do domu.

- Będzie lepiej, jeśli ja wrócę do koszenia trawy, a ty pójdziesz tam, gdzie planowałeś.

- Jestem tam, gdzie planowałem. Nie odejdę, dopóki nie będę mógł sobie powiedzieć, że wykonałem zadanie.

- Już je wykonałeś. Porozmawiałeś ze mną o Billu i z sa-

tysfakcją stwierdziłeś, że nie usycham z tęsknoty za tobą, więc w każdej chwili możesz odejść.

Nie puszczając jej ręki, dodał:

- Chyba masz rację, ale został jeszcze jeden drobiazg: z ciekawości chcę sprawdzić, czy tego, co stało się wieczorem, nie da się powtórzyć.

Dotknął wargami jej ust i zaczął ją całować. Kompletnie zaskoczona poczuła, że wszystko jest tak jak wczoraj. Nie panując nad sobą, całowała go i obejmowała. Otaczał ich zapach hiacyntów i świeżo skoszonej trawy. Zapomniała o sąsiadach i przechodniach, szczęśliwa, że znowu jest w jego ramionach.

W końcu oderwali się od siebie i Cassandra opuściła głowę. Od chwili, gdy przyszedł do ogrodu, robiła wszystko, by przekonać go, że nie jest nim zainteresowana, ale wystarczyło, że jej dotknął, by poddała się bez najmniejszego oporu.

Ujął ją pod brodę i delikatnie skłonił do spojrzenia mu w oczy.

- Znowu jesteś przerażona - rzekł łagodnie - ale nie masz powodu. Przecież powiedziałem ci, że to tylko moja ciekawość.

Bez słowa kiwnęła głową. Czy to oznacza, że wszystko zrozumiała? A może chce przez to powiedzieć, że skoro są wolni i jest im z sobą dobrze, to warto wykorzystać tę sytuację?

Nagłym ruchem schyliła się i podniosła rękawice, po czym uruchomiła silnik kosiarki. To był dla niego sygnał, że ma już odejść. Bała się, że jeszcze chwila, a zdradzi mu wszystko, co na razie wolała przed nim ukryć.

Nie widziała, kiedy odszedł, lecz gdy dotarła do końca trawnika i odwróciła się, Bevana nie było. Patrząc na pusty ogród z prostym pasem świeżo skoszonej trawy, uzmysłowiła sobie, że się zakochała. Ze wszystkich mężczyzn na świecie Bevan był

jedynym, który tchnął w nią nadzieję na inne życie. Zastanawiała się, jak oceniliby ten fakt - gdyby się o tym kiedykolwiek dowiedział.

Ku zdumieniu wszystkich prócz Bevana, wynik analizy krwi Billa dowodził, że jest on chory na brucelozę - chorobę, która roznosi się za pośrednictwem bydłęcych wydzielin. Spowodowało to wielkie poruszenie na farmie. Joan powiedziała Cassandrze przez telefon, że trzeba będzie przebadać całe stado, by stwierdzić, które zwierzęta są zarażone.

- Biedak nieomal odchodzi od zmysłów. Jest taki chory, a teraz na dodatek ta okropna wiadomość. Są tu weterynarze i pobierają krew od wszystkich sztuk. Potem wyślą próbki do Londynu i będziemy musieli czekać, może nawet tydzień, ale sprawa jest chyba przesądzona: skoro Bill ma krowy i zachorował na brucelozę...

Cassandra słuchała ze współczuciem. Jakież to okropny początek małżeństwa!

- Ale podobno ta choroba została w Wielkiej Brytanii całkowicie wyeliminowana?

- Prawie całkowicie. Od czasu do czasu zdarzają się pojedyncze przypadki. To pewnie jest jeden z nich. Bill traktuje to jako swoją zawodową klęskę, więc możesz sobie wyobrazić, jaki nastrój panuje w domu. Bevan od początku podejrzewał brucelozę, ale nic nam nie mówił, bo wiedział, jaki chaos zapanowałby na farmie. Im bliżej go poznaję, tym bardziej go lubię.

- Ja też - stwierdziła Cassandra smętnie.

Zaskoczona Joan zamilkła na chwilę, po czym spytała:

- No to czemu czegoś z tym nie zrobisz?

- Mam mu wyznać, że zakochałam się w nim jak wariatka?

Tak jak byłam zakochała w jego bracie? I że mój syn jest jego bratankiem?

- Z każdym problemem można sobie poradzić, trzeba tylko poszukać sposobu. Rusz się, Cassie, i zrób z tym coś.

Według Joan wszystko jest takie proste, pomyślała Cassandra, odkładając słuchawkę, ale jak to Bevan siebie określił? „Lekarz, perfekcjonista”? Skoro tak, to co pomyśli o głupiej dziewczynie, która pewnego razu nie potrafiła się oprzeć beztróskiemu studentowi medycyny i zaszła z nim w ciążę?

Od spotkania w ogrodzie upłynął tydzień. Przez ten czas zetknęła się z Bevanem dwukrotnie.

Najpierw spotkali się w ambulatorium, dokąd matka przyprowadziła syna z głęboko rozciętym palcem. Gdy Cassandra weszła do gabinetu, zobaczyła Bevana, który, posadziwszy sobie chłopca na kolanach, wyjaśniał mu, w jaki sposób drabinka szwów zamknie ranę i sprawi, że ból minie.

Ich oczy spotkały się na chwilę, po czym Cassandra, wstrząśnięta widokiem Bevana z dzieckiem, przeprosiła i szybko wybiegła. Przez te wszystkie lata leczył wiele dzieci, w różnym wieku i o różnym kolorze skóry, ale zawsze były to cudze dzieci, nigdy jego własne.

Czy mogłaby mu zaofiarować dziecko, krew z krwi i kość z kości jego rodziny - pytała samą siebie w rozterce - i ponieść tego konsekwencje? Nieodwołalnie zmienić życie Bevana, Marka i swoje własne? Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była zagubiona.

Za drugim razem ich drogi skrzyżowały się, gdy przyszedł do jej gabinetu Michael Drew, by przypomnieć, że zabawa, na którą mają razem pójść, odbędzie się w piątek.

- Nie rozmyślałaś się, Cassandro? - spytał nieśmiało.
- Oczywiście, że nie. Dotrzymuję słowa.

Nie mogła mu powiedzieć, że jej serce zdobył inny mężczyzna. Na szczęście Michael nie uważał tej zabawy za wstęp do dalszych spotkań. A gdyby nawet, to ona szybko mu to wyperwaduje.

Michael uśmiechnął się radośnie. Lubiła go, więc odpowiedziała mu uśmiechem i w tym momencie wszedł Bevan. Obrzucił ich uważnym spojrzeniem i spytał oficjalnym tonem:

- Joan dalej nie ma?
- Nie - odparła Cassandra równie oficjalnie. - Może jutro przyjdzie. Dzwoniła dziś rano i mówiła, że Bill czuje się o wiele lepiej, chociaż ciągle się zamartwia chorobą stada.

- No cóż, takie rzeczy się zdarzają, a im wcześniej sprawa się rozstrzygnie, tym lepiej dla wszystkich.

Kiwnął głową Michaelowi i wyszedł, nie zdając sobie sprawy, że wytrącił ją z równowagi. Co gorsza, Michael najwyraźniej nie miał zamiaru opuścić gabinetu.

Poszedł dopiero wtedy, gdy z rejonowego zarządu opieki zdrowotnej nadeszła wiadomość, że termin inspekcji został ustalony na piątek po świętach Wielkiejnocy. Zostały im tylko cztery tygodnie na przygotowania.

Cassandra zajęła się intensywnie tym problemem i o Bevanie przypomniała sobie dopiero wieczorem, gdy Mark spytał:

- Czy pozwolisz mi w sobotę pójść na ryby?

Spojrzała na niego znad sterty prasowanych ubrań i uśmiechnęła się.

- Myślę, że tak. Gdzie chcesz iść i z kim?
- Nad jezioro... z Bevanem - odparł, spoglądając na nią niepewnie.

Jej spokój prysnął w jednej chwili. A więc jednak! Więc to się dalej ciągnie! Bevan chce za wszelką cenę zastąpić Markowi ojca!

Uświadomiła sobie, że nie powinna chłopcu odbierać tej przyjemności. Zaczerpnęła powietrza i usiłując zachować spokój, powiedziała:

- W porządku. Powiedz mu, że przygotuję wam kanapki. Nie będzie cię cały dzień, więc chyba przejdę się po sklepach, a potem pójdę do kina. Gdybyś wrócił przede mną, zostawię ci pieniądze na kolację w barze. Dobrze?

Mark był w siódmym niebie.

- Tak, wspaniale.

Cassandra zrozumiała, że więź pomiędzy Markiem a Bevanem staje się coraz silniejsza.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W piątek wieczorem zadzwonił telefon. Cassandra podniosła słuchawkę i usłyszała głos Bevana:

- Chciałem tylko spytać, czy nie masz nic przeciwko naszej wycieczce na ryby.

- Pozwoliłam mu jechać. Chyba ci już powiedział?

- Tak, ale pomyślałem, że powinienem się upewnić, czy nie przecenił twojego entuzjazmu dla tej wycieczki, skoro nie należę do grona twoich najbliższych znajomych.

Nie miała zamiaru wdawać się z nim w dyskusję, ale nie mogła się powstrzymać od złościwości:

- Nie powstrzymało cię to jednak od zaproponowania mu tej wycieczki.

- Oczywiście, że nie. To wspaniały chłopak. Przecież wiesz, że go nie porwę.

A może właśnie porwiesz, kiedy się dowiesz, że jesteście krewnymi, pomyślała ze smutkiem, ale powiedziała spokojnie:

- Tak. To wspaniały chłopak i nie chcę, żebyś go skrzywdził. Sam mi powiedziałeś, że masz naturę koczownika. Nie chcę, żeby Mark się do ciebie przywiązał, bo popadnie w depresję, kiedy wyjedziesz.

- Nie mam zamiaru robić niczego, co sprawiłoby mu przykrość - oświadczył poważnie.

Jego słowa brzmiały przekonująco. Zdążyła się już zoriento-

wać, że był człowiekiem uczciwym, co jednak nie powstrzymało go od ingerowania w ich życie. Choć ona pozytywnie go ocenia, to czy on odpłaci jej tym samym, gdy się dowie, kto jest ojcem Marka?

Zmieniając temat na neutralny, spytała:

- Czy Mark ci powiedział, że przygotuję wam kanapki?
- Tak, dziękuję. A ty co będziesz robić, kiedy my będziemy nad jeziorem?
- Przejdę się po sklepach, a potem może pójde do kina.
- Sama?
- Oczywiście.
- Myślałem, że idziesz z Michaelem. Kiedy wszedłem wczoraj do biura, wyglądaliście na dobraną parę.
- To nie tak - zaprzeczyła. - Po prostu zaprosił mnie na następny piątek na zabawę Przyjaciół Springfield.
- Tak? Muszę się zorientować, jak dostać bilet... I znaleźć partnerkę.
- Biletów jest w bród - zapewniła go i w tym samym momencie pomyślała z goryczą, że partnerek będzie do wyboru, do koloru, gdy tylko rozejdzie się wieść, że doktor Marsland nie ma z kim pójść na zabawę.

Bevan powrócił do głównego tematu ich rozmowy:

- No więc jutro Mark przychodzi do mnie do przychodni, jedziemy na ryby, a jeśli wrócimy przed tobą, zrobię mu u siebie coś do jedzenia. Chyba że chciałabyś zmienić plany i pojechać z nami? Mogłabyś pilnować robaków - zażartował.
- O nie, serdeczne dzięki.
- Jesteś pielęgniarką i na pewno widywałaś gorsze rzeczy.
- Widywałam, ale nie poza dyżurami.
- A może nie do robaków masz awersję, tylko do mnie?

- Nie próbuj czytać w moich myślach. Po prostu pozwól mi żyć tak jak dotychczas.

- Wygrałeś - powiedział z irytującym spokojem. - Baw się dobrze w sklepach. Do zobaczenia.

- Poczekaj! - zawołała, zanim odłożył słuchawkę. - Niezależnie od tego, co mówiłam, dziękuję ci za to, że poświęcisz Markowi tyle czasu. Wiem, że sprawia mu to dużą radość.

- Mnie to też sprawia dużą radość - odparł spokojnie. - Może kiedyś będę miał własnego syna, ale na razie ciesz się moim towarzystwem twojego.

Poczuła ból w sercu i łzy w oczach. Bevan nie prosił o współczucie. Po prostu wciąż miał w pamięci ten okropny epizod ze swojego życia... Pewnie byłby o wiele szczęśliwszy w towarzystwie Marka, gdyby wiedział, że to syn jego brata. Powinna mu to powiedzieć, ale nie potrafi. Nie dlatego, że chce zatrzymać syna dla siebie, ale dlatego, że pamięć o tym, jak lekceważąco potraktował ją Darren i jak brutalnie odniósł się do niej jego brat, wryła się w jej duszę na zawsze.

Sobotni spacer nie sprawił Cassandrze przyjemności. W sklepach były tłumy ludzi, wystawione na sprzedaż towary wcale jej się nie podobały, a gdy samotnie jadła lunch w barze jednego z centrów handlowych, myślami była nad jeziorem.

Dlaczego nie przyjęła propozycji Bevana i nie pojechała z nimi? Wypoczywaliby we troje na świeżym powietrzu, jak rodzina. Jednak odpowiedź na to pytanie była oczywista: cały dzień spędzony w towarzystwie Bevana, pod jego badawczym spojrzeniem, byłby mieszaniną przyjemności i lęku. Była pewna, że to drugie przeważałoby nad pierwszym.

Przyjemność wynikałaby z tego, że jest w nim zakochana.

A lęk? Wynikałby z konieczności nieustannego pilnowania się. Musiałyby ważyć każde słowo, oceniać każde spojrzenie, byle tylko nie zdradzić swoich uczuć, a także sekretu, który tak długo utrzymywała w tajemnicy i który teraz potwornie jej ciążył.

Film jej się nie spodobał. Opowiadał o nie chcianej miłości i nieodgadnionych zagadkach ludzkiego umysłu. Wyszła w jego połowie i udała się na dworzec autobusowy.

Wysiadłszy z autobusu na rynku, ruszyła ku domowi i nagle ogarnęło ją uczucie osamotnienia. Dawniej, gdy Mark był mały, towarzyszyło jej stale. Potem, gdy podrośł, zniknęło. Zawdzięczała to zdobyciu pracy w Springfield, a także przeprowadzce z wynajmowanego mieszkania do własnego domu. Długo trwało, zanim zgromadziła wkład wymagany przez firmę budowlaną, ale wreszcie dopięła swego. Po drodze były oczywiście i inne ważne zdarzenia, ale te dwa były najistotniejsze.

Teraz, gdy Mark podrośł, nie musiała, idąc do pracy, pozostawiać go pod opieką obcej osoby i cały czas niepokoić się, czy opiekunka, wyszukana często z dużym trudem, nie zaniedbuje swych obowiązków.

Wszystko to miała już za sobą. Ostatnimi laty wiodła przyjemne, dające satysfakcję życie. A tymczasem nagle, jak grom z jasnego nieba, pojawił się Bevan, a Mark zaczął go ubóstwiać, co stanowiło dla niej nie lada problem.

Uczucia nie mają tu nic do rzeczy, pomyślała, otwierając drzwi domu. Bevan wyjedzie, gdy skończy się jego umowa, więc kieruj się rozsądkiem, a nie sercem.

Bevan i Mark wrócili o dziesiątej. Po całym dniu spędzonym poza domem chłopiec był brudny i rozczochrany, ale miał rumiane policzki i wesołą twarz.

- Złapaliśmy pstrąga! - zawołał na powitanie.

Cassandra uśmiechnęła się.

- Wspaniale. Przynieśliście go?

Bevan stał z tyłu i przyglądał im się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Miał na sobie wyświechtane dzinsy i białą koszulę z rozpiętym kołnierzykiem.

Po raz pierwszy wszedł do jej domu. Był co prawda już w jej ogrodzie i wtedy nie była w stanie oprzeć się jego czarowi. A teraz jest tu i sprawia, że nie czuje się już samotna.

- Powiedz mamie, gdzie jest ta ryba - uśmiechnął się Bevan.

- Zjedliśmy ją! - zawołał radośnie Mark. - Bevan upiekł ją na grillu i zrobił do tego całą masę frytek!

- Założę się, że to była najsmaczniejsza ryba, jaką jadłeś.

- Rzeczywiście. Skąd wiesz?

- Byłoby tak samo, gdybyś złowił jakąś płotkę.

Roześmiali się wszyscy troje i nagle Cassandra poczuła się beztrosko.

- Masz ochotę na kawę? - spytała Bevana.

- Niestety, nie mogę zostać. Muszę uporządkować zapisy w kartach pacjentów i przywrócić gabinet do poprzedniego stanu. W przyszłym tygodniu John wychodzi ze szpitala. Chcę, żeby zastał wszystko tak, jak zostawił. Im mniej niespodzianek, tym lepiej dla jego zdrowia.

- Wychodzi? - ucieszyła się Cassandra. - To wspaniale!

- Tak - odparł poważnie - ale przez jakiś czas musi się oszczędzać. Nie pozwolę mu brać się do ciężkiej pracy, przynajmniej dopóki stąd nie wyjadę.

Zapanowała cisza. Po chwili Cassandra spytała:

- A co będzie, kiedy wyjedziesz?

- Myślę, że do tego czasu praktykę Johna przejmie ktoś inny, jeśli to masz na myśli.

Poczuła, że się rumieni. Nie o to jej chodziło i podejrzewała, że on o tym wie.

- Na pewno - zgodziła się, żałując, że zadała to pytanie, bo jej dobry nastrój gdzieś zniknął.

Mark ziewnął. Po całym dniu na świeżym powietrzu potrzebował odpoczynku. Podziękował Bevanowi za „wspaniały dzień” i poszedł do swojego pokoju, a Bevan pożegnał się i ruszył ku drzwiom.

Gdy odprowadzała go, odwrócił się nagle. Serce zabiło jej mocniej, lecz on tylko spytał:

- A ty bawiłaś się dobrze?

- Niezbyt - odparła zgodnie z prawdą.

- Powinnaś była pojechać z nami - powiedział tym samym, obojętnym tonem.

- Naprawdę tego chciałeś, czy zapraszałeś mnie, bo tak wypada?

Spodziewała się najwyżej zapewnienia, że jej obecność nie przeszkadzałaby im w łowieniu ryb, tymczasem jego pozorny spokój nagle zniknął.

- A jak myślisz? - spytał. - Oczywiście, że chciałem. Mark jest częścią ciebie i nigdy nie miałem zamiaru sprawiać ci problemów.

- Od kiedy zjawiłeś się tutaj, mam same problemy.

- Pewnie dlatego... - powiedział łagodnie i ująwszy jej twarz, nachylił się i zaczął ją całować tak, że nie panując nad sobą objęła go i przyłgnęła do niego całym ciałem.

Ale ta rozkosz skończyła się, ledwo się zaczęła. Delikatnie odsunął się od niej i rzekł:

- Zanim wejdzie nam to w nawyk, powinniśmy, a zwłaszcza ty, przemyśleć pewne sprawy. Jesteś chimeryczna wobec mnie.

W moim życiu nie ma miejsca na różne odcienie szarości. Wszystko musi być albo białe, albo czarne, bez żadnych wątpliwości. Przemysł to sobie.

Kiwnęła głową bez słowa, a on odwrócił się i zniknął w mroku nocy. Nieopodal huknęła sowa, ćmy krążyły wokół lampy nad drzwiami, ale nic z tych rzeczy nie docierało do Cassandry.

Bevan uważa, że powinna przemyśleć pewne sprawy! To śmieszne! Przecież ona o niczym innym nie myśli, odkąd tu przyjechał. Gdyby to był ktokolwiek inny, wszystko byłoby proste. Niestety, Bevan jest krewnym jej syna i kiedy się o tym dowie, na pewno nie spodoba mu się jej dotychczasowa tajemniczość; niemniej wreszcie trzeba będzie mu to powiedzieć, bo dłużej nie da się tak żyć.

W następnym tygodniu zdarzyły się trzy pamiętne rzeczy. We wtorek rano Cassandra i Joan siedziały w biurze, przygotowując się do wizyty komisji. Joan wróciła do pracy, bo stan zdrowia Billa znacznie się poprawił. Zgodnie z przewidywaniami Bevana objawy choroby, w początkowym okresie tak nieprzyjemne dla pacjenta, wkrótce osłabły; gorączka minęła i niedługo Bill będzie mógł wrócić do swych zajęć na farmie.

- Czasem następuje nawrót choroby, ale o to będziemy się martwić później - oświadczył Bevan.

- Skąd wiedziałeś, że to brucelozą?

- Długo mieszkałem w Australii. Kiedy pracowałem w medycznej służbie powietrznej, większość moich pacjentów mieszkała na farmach. Tam zetknąłem się z tą chorobą.

Powtórzywszy Cassandrze tę rozmowę, Joan stwierdziła:

- Teraz z niecierpliwością czekamy na wyniki analizy krwi bydlę.

Zadzwonił telefon. Joan podniosła słuchawkę i po chwili z promienną twarzą oznajmiła Cassandrze:

- Dzwoni Bill. Przyjechał weterynarz i mówi, że krowy są zdrowe! Słyszysz? Zupełnie zdrowe! Wszyscy na farmie szaleją z radości!

- To wspaniale! - ucieszyła się Cassandra. - Ale w takim razie gdzie Bill zaraził się tym wirusem?

- Na razie trudno powiedzieć. Weterynarz na pewno będzie chciał dotrzeć do źródła infekcji, ale jeśli o nas chodzi... Co za ulga! Teraz już mogę się całkiem poświęcić przygotowaniom do inspekcji. Taki kamień spadł mi z serca!

- Twoje małżeństwo rozpoczęło się od problemów, ale mam nadzieję, że dalej wszystko potoczy się gładko.

- Chciałabym tego - odparła Joan, po czym zmieniła temat na sprawy zawodowe: - Oliver Grant zamówił sobie na dziś po południu gabinet chirurgiczny. Chce wykonać kilka zabiegów. Przyprowdzi nową asystentkę.

- Znasz ją?

- Nazywa się Lucinda Beckman. Jak wieść niesie, natura szczerze obdarzyła ją zaletami umysłu i ciała. Niebezpieczne połączenie, co?

- Może - roześmiała się Cassandra. - Ja jestem mniej hojnie obdarzona przez naturę, tym chętniej więc poznam doktor Beckman.

- A propos umysłu i ciała, jak ci się układa z Bevanem?

Cassandra spowaźniała.

- Sama nie wiem. W sobotę zabrał Marka na ryby i wszystko wskazuje, że doskonale się bawili, ale jeśli o mnie chodzi, to jestem w jego obecności strasznie zdenerwowana.

- On ci się podoba, prawda?

- Tak - westchnęła Cassandra. - Nawet bardzo. Ale dlaczego pierwszy mężczyzna, który mnie zainteresował po tylu latach, musiał się okazać bratem Darrena?

- To wcale nie musi być aż taka tragedia, jak sobie wyobrażasz. Liczy się to, co oboje czujecie. Nawet gdyby był bratem Drakuli, nie oznaczałoby to, że automatycznie pożąda krwi. Najważniejsze, czy odwzajemnia twoje uczucia.

- Nie jestem pewna. Raz mi się wydaje, że tak, a innym razem, że tylko chce się mną zabawić, zanim pojedzie dalej. Ale najważniejsze jest to, że nie powiedziałam mu, kto jest ojcem Marka, a dopóki nie będzie o tym wiedział, nasza znajomość stoi pod znakiem zapytania.

- Więc zrzuć z siebie ten ciężar.

- Łatwo ci mówić! A co będzie, jeśli Mark oszaleje i zechce pojechać do rodziny, o której istnieniu dotąd nie wiedział?

- A co w tym złego?

- Sądzisz, że źle zrobiłam, ukrywając przed Marslandami istnienie Marka?

Joan zastanowiła się przez chwilę.

- Nie. Twoja ciąża nie była wynikiem trwałego związku. Wiązała się z poniżeniem i głęboką urazą. Spotkałeś egoistycznego łobuza, który cię wykorzystał. Potem jego brat obraził cię na cmentarzu, i to w chwilę po tym, jak pogrzebano Darrena. Miałaś wszelkie powody, żeby unikać Marslandów. Setki dziewczyn w twojej sytuacji robiłyby wszystko, żeby wejść do rodziny ojca dziecka choćby z powodów finansowych, ale ty miałaś tyle dumy i odwagi, że nie poszłaś tą drogą. Nie masz powodu czuć się winną. Zgadzam się, że sytuacja trochę się skomplikowała, jednak los często rozwiązuje nasze problemy w najmniej spodziewany sposób. Na przykład tak, jak z tą brucelozą na naszej farmie.

Cassandra uśmiechnęła się smutno.

- To prawda. Ale równie często sprawia, że nasze życie w najmniej oczekiwanym momencie zmienia się w chaos.

Popołudnie potwierdziło prawdziwość jej słów.

Gdy Oliver Grant przybył ze swoją nową asystentką, Cassandra była na oddziale urazowym, gdzie w towarzystwie kolegi udzielającego mu moralnego wsparcia zjawił się piłkarz ze zwichniętą szczęką.

Obaj byli wciąż w ubłoconych, sportowych strojach, ale Cassandra nie komentowała tego, bo widać było, że pacjent bardzo cierpi.

Akurat nie było pod ręką żadnego lekarza, więc Cassandra, mając już wcześniej do czynienia z podobnymi przypadkami, zdecydowała się zaradzić złu sama. Najpierw owinęła sobie kciuki bandażem.

- To po to, żeby mi pan ich nie odgryzł, gdy wstawię panu szczękę na miejsce - wyjaśniła zdziwionemu pacjentowi.

Młoda praktykantka, która asystowała Cassandrze, była również zaciekawiona jak pacjent.

- To będzie chwila. Stawy szczęki są najluźniejsze ze wszystkich stawów człowieka, przez co łatwo ją zwichnąć, ale równie łatwo wstawić ją na miejsce.

Poprosiła piłkarza, by otworzył usta najszerzej jak może, wsunęła kciuki do jego ust, nacisnęła na dolne zęby trzonowe i jednym ruchem wstawiła szczękę na miejsce.

Sportowiec odetchnął głęboko i otarł czoło.

- O rany, siostró, strasznie dziękuję! Na boisku dostałem łokciem w twarz i proszę bardzo! Ale się przestraszyłem!

- Jasne. Proszę sobie na kilka tygodni dać spokój z graniem.

Nie sądzę, żeby mogło się to panu ponownie przytrafić, ale przeżył pan poważny wstrząs.

Gdy piłkarz z kolegą wyszli, rysując korkami piłkarskich butów wypastowaną podłogę szpitala, Cassandra odwróciła się i zobaczyła Bevana.

- Zrobiłaś to jak profesjonalistka - uśmiechnął się.
- Jestem profesjonalistką - odparła wesoło.
- To prawda - zgodził się, po czym poważniejąc, spytał:
- Czy przemyślałaś sobie to i owo?
- Tak - odpowiedziała. - Musimy porozmawiać, gdy znajdziesz wolną chwilę.
- Dziś wieczorem?
- Dziś nie mogę. Joan zaprosiła mnie i Marka na uroczystą kolację.
- Mnie też.
- Ty też tam będziesz? - Ton jej głosu nie pozostawiał wątpliwości, że się cieszy.
- Tak. Przypuszczam, że będziemy wznosili toast na cześć brucelozy, a raczej na cześć jej braku. Rozmawiałem z Billem Jarvisem zaraz po nadejściu wyników. Nie ma pojęcia, gdzie mógł się zarazić. Zastanawia się, czy nie doszło do tego podczas ich podróży poślubnej. Niedaleko ich hotelu była łąka, na której pasły się wychudzone kozy. Przyznał się, że było mu ich żal i czasem szedł tam je głaskać. Może były chore? Znane są przypadki zarażenia brucelozą od kóz czy świń, a nie tylko od krów. No dobrze, ale kiedy przeprowadzimy naszą rozmowę?
- Nie wiem, ale na pewno nie dzisiaj, chociaż się spotkamy u Joan. Nie chcę rozmawiać z tobą w obecności Marka.
- Intrygujesz mnie. Może wybierzemy się do restauracji w sobotę?

- Dobrze. Ale nie zapraszaj Marka.
- Oczywiście. Tylko ty i ja.

Gdy Bevan pozna jej tajemnicę, ta kolacja może stać się ich ostatnią wieczerzą, myślała ze smutkiem. Miała mu wyjawic swój najskrytszy sekret. Modliła się, by ją zrozumiał.

W tym momencie weszła Joan z Oliverem Grantem i ciemnowłosą kobietą w wieku Cassandry.

- To jest doktor Lucinda Beckman - oznajmiła Joan. - Doktor Grant właśnie mi powiedział, że wkrótce chce przejść na emeryturę i doktor Beckman wraz z drugim ortopedą przejmą jego obowiązki. - Odwróciła się do lekarki i powiedziała z uśmiechem: - W takim razie często będziemy się widywały, bo większość naszych pacjentów to rekonwalescenci po operacjach ortopedycznych.

Doktor Beckman jeszcze nie powiedziała ani słowa. Bevan podeszedł uściskać jej rękę na powitanie i Cassandra, czekając na swą kolej, patrzyła na piękną twarz kobiety, jej duże, zielone oczy i zmysłowe usta.

Nagle uprzytomniła sobie, że zna tę twarz. Widziała ją dawno i przez krótką chwilę, ale takie rysy trudno zapamiętać. Ich piękno zniewoliło nieświątego Darrena.

I jak uprzednio tabliczka z nazwiskiem Bevana przywołała wspomnienie pogrzebu Darrena, tak teraz twarz tej kobiety przeniosła myśli Cassandry daleko w przeszłość. Tamta dziewczyna miała na imię Lucy, a nie Lucinda, i nie nazywała się Beckman, ale bez wątpienia to była ona - ta, która zastąpiła Cassandrę u boku uczelnianego Romea i namówiła go do wejścia na wieżę. Lucy to przecież zdrobnienie od Lucinda, a nazwisko Beckman pewnie przyjęła po mężu.

W trakcie oficjalnego uścisku dłoni Lucinda spytała:

- Czy myśmy się już gdzieś nie spotkały?
- Nie sędzę - odparła Cassandra, sztucznym spokojem pokrywając wzburzenie.

- Tak? A mogłabym przysiąc... - Lucinda nie dokończyła i zwróciła się ku Bevanowi: - Wie pan, pochodzę z tych stron, choć przez ostatnie lata mieszkałam na południu. Ale powrót w rodzinne okolice wywołuje we mnie dziwne reakcje. Co chwila wydaje mi się, że natrafiam na ślady przeszłości. Na przykład znałam kogoś, kto nazywał się Marsland. Studiowaliśmy razem. Pewnie nie jest pan jego krewnym? Miał na imię Darren... Darren Marsland.

Zdumiona Joan zaniemówiła. Oliver Grant zaczął przestępować niecierpliwie z nogi na nogę, zirytowany, że zamiast mówić o istotnych rzeczach, oni tu wspominają dawne czasy. Uwaga Cassandry skupiła się na Bevanie. Zaskoczony, ze ściągniętą twarzą, odparł krótko:

- To był mój brat.
- Naprawdę? Więc w końcu spotkałam kogoś z dawnych czasów.

- W pewnym sensie tak, ale ponieważ Darren leży na pobliskim cmentarzu, nie chcę się wdawać w rozmowy na jego temat.

Cassandra z przerażeniem pomyślała, że Darren będzie głównym tematem sobotniej rozmowy z Bevanem, niezależnie od jego życzeń.

Bevan schylił się, wziął swoją torbę lekarską i oznajmił:

- Przepraszam, ale muszę wracać do ambulatorium.
Cassandra stała nieruchomo, świadoma, że na jej życiu położył się kolejny cień.

Joan patrzyła na przyjaciółkę z konsternacją. Gdy lekarze wyszli, zawołała:

- A to ci historia!

- Tak - odparła Cassandra z namysłem. Twarz miała białą jak papier. - To ona odebrała mi Darrena... To ona namówiła go, żeby wszedł na tę wieżę.

- Niewiarygodne! - zawołała Joan. - Może jest ładna, ale i arogancka. Mam nadzieję, że jakiś inny szpital skusi się na jej kwalifikacje i wyciągnie ją od nas, gdy doktor Grant już tu nie będzie pracował.

- Przestraszyłam się, że mnie poznała, ale chyba przestała o tym myśleć.

- Tak, choć pewnie nie na długo - ostrzegła ją Joan. - Wkrótce zaczniesz coraz częściej wracać wspomnieniami w młodość. Zaczęła od Darrena.

- Wiem, ale Bevan zaprosił mnie na sobotę do restauracji. Wtedy mu powiem.

- To świetnie! Na pewno będzie szczęśliwy.

- Albo ja będę nieszczęśliwa.

- Prawda jeszcze nikomu nie zaszkodziła - oświadczyła Joan z wielką pewnością siebie.

Choć Cassandra miała co do tego stwierdzenia poważne wątpliwości, ton, jakim wypowiedziała je Joan, podniósł ją na duchu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Po południu Cassandra przyjechała z Markiem na farmę Jarvisów. Joan i Bill wyszli ich przywitać, trzymając się za ręce, i zaprosili do domu, w którym panowała rzucająca się w oczy atmosfera szczęścia i miłości.

Gdy Bill zabrał Marka na przejażdżkę po farmie, a Joan naląła kieliszek sherry, Cassandra poczuła, że to, co zdarzyło się dziś w szpitalu, nie jest aż tak groźne.

- Chodź ze mną do kuchni - poprosiła Joan. - Porozmawiamy, kiedy będę kończyła robić kolację.

- Mmmm, wspaniale pachnie - stwierdziła Cassandra, gdy weszły do przytulnej kuchni. - Pewnie odkąd wróciłaś do domu, nie miałaś chwili wytchnienia.

- Zgadłaś - roześmiała się Joan. - Ale czego się nie robi dla przyjaciół.

- To bardzo miło z twojej strony, że nas zaprosiłaś.

- Jesteście pierwszymi gośćmi od naszego ślubu, więc jest to wyjątkowa okazja.

- Ale nie jedyny powód? - uśmiechnęła się Cassandra.

- To prawda. Kiedy Bill zadzwonił do mnie rano, żeby mi przekazać radosną nowinę, postanowiłam to uczcić. Dlatego jeden z naszych indyków trafił do piekarnika. Przygotowuję też wiosenną sałatkę. - Spojrzała poważnie na Cassandrę: - Czy wiesz, że zaprosiłam Bevana?

- Tak. Wspomniał o tym po południu.
- Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe. Odegrał główną rolę w naszej tragedii, więc uznałam, że mu się to należy.
- Nie mam nic przeciwko temu. To może nawet lepiej: będę się cieszyła ostatnią chwilą spokoju przed burzą.
- A ja ci mówię, że burza nie musi wcale nadejść. Tak czy owak, on tu niedługo przyjedzie. Mogą go zatrzymać pacjenci w przychodni i wizyty domowe, ale spodziewał się, że zdąży przed ósmą.

W tym momencie do kuchni wpadł rozgorączkowany Mark.

- Pan Jarvis mówi, że jeśli się zgodzisz, to będę mógł pomagać na farmie w czasie ferii wielkanocnych.

Cassandra spojrzała na wchodzącego Billa, który skinieniem głowy potwierdził słowa chłopca.

- Tak. Mogłby pomagać przy sprzątaniu obór i dojeniu. Przy okazji zarobiłby kilka funtów.

- Wspaniale - uśmiechnęła się Cassandra. - Mark nie boi się pracy. Na pewno mu się to spodoba.

- Mogłby tu mieszkać przez ten czas. Miejsca mamy dość. A ty miałabyś więcej czasu dla siebie - dodał Bill znacząco.

- Po co?

- No wiesz... Mogłabyś lepiej poznać Bevana.

- To nie będzie takie łatwe...

Ale nawet ta myśl nie zepsuła jej humoru. Udzieliła jej się panująca w domu Jarvisów atmosfera rodzinnego szczęścia. A gdy Bevan spojrział na jej strój z uznaniem, zapomniała o wszelkich troskach.

Wchodząc, wyglądał na zmęczonego, ale uśmiechnął się wesoło, a kiedy Mark podbiegł i pochwalił się, że będzie pracować na farmie, ucieszył się razem z nim.

- To wspaniale. Wielkanoc już niedaleko, więc nie będziesz musiał długo czekać.

Cassandra dawno nie czuła się tak dobrze. Z przyjemnością patrzyła na Bevana i Marka pograżonych w rozmowie, na pogodnego Billa z kieliszkiem w ręce, opartego o obramowanie kominka, na zarumienioną twarz Joan, która wносиła upieczonego na złocisty kolor indyka.

Jeśli o północy czar pryśnie i znowu zmienię się w kopciuszkę, pomyślała, to trudno. Teraz nie będę się o nic martwić.

Zasiedli do stołu. Cassandra siedziała pomiędzy Bevaniem a Markiem. Byli właśnie przy deserze - rozpluwając się w ustach szarlotką z bitą śmietaną - gdy zadzwonił telefon.

Po chwili Joan wróciła i oświadczyła rzeczowym tonem:

- Mamy kryzysową sytuację. Koło Springfield zatoniła „Cotswold Queen”. Na pokładzie było dużo młodzieży. Wszystkich wiozą do nas.

- Co to jest „Cotswold Queen”? - spytał Bevan.

- To statek, który odbywa rejsy wycieczkowe, a wieczorami służy za dyskotekę - odparła Cassandra, sięgając do torebki po kluczyki.

Joan wyciągnęła rękę powstrzymującym gestem:

- Ty zostajesz, Cassie. Musisz zająć się Markiem. To może potrwać całą noc.

- Ale przecież będę wam potrzebna!

- Mark może zostać ze mną- zaofiarował się Bill. - Jeśli nie wróci, dam mu śniadanie i zawiozę do szkoły.

- Dziękuję ci bardzo. W takim razie zostawię wam klucze od domu, bo Mark musi się rano przebrać w szkolny mundur.

Cassandra szybko ucisnęła Marka i pobiegła za Joan i Bevaniem, którzy wsiadali już do samochodów.

Ruszyli. Na przedzie Joan, najlepiej znająca drogę, potem Bevan w swoim dużym brązowym samochodzie, na końcu Cassandra w swoim małym fiacie.

Czy nie lepiej było pojechać jednym autem? - pomyślała, gdy pędzili w ciemności. Chyba jednak nie: rano każde z nich miało udać się w inne miejsce i musieliby najpierw wracać na farmę po swoje samochody.

W szpitalu paliły się wszystkie światła. Na dziedzińcu stały karetki.

- Wciąż ich przywożą - poinformowała siostra z nocnego dyżuru, gdy wbiegali do środka.

- Jakie mamy przypadki?
- Złamania, silne stłuczenia, hipotermia.
- Są przypadki śmiertelne?
- Na razie nie.

Bevan rzucił marynarkę na najbliższe krzesło, podwinął rękawy i spytał:

- Są już inni lekarze?
- Jeszcze nie, ale Peter Abbotsford i Mike Drew już jadą.
- Dobrze - powiedział i pospiesznie ruszył korytarzem.

Cassandra pobiegła za nim, zostawiając Joan sprawy organizacyjne.

Oddział urazowy był pełen młodych ludzi. Większość była przemoczona do suchej nitki i szokowana. Cassandra chwyciła za ramię stażystkę i powiedziała:

- Dla wszystkich dużo gorącej, słodkiej herbaty i koce, żeby mogli zdjąć ubrania.

Gdy pielęgniarka ruszała wypełnić polecenie, Cassandra spytała ją:

- Ile jest osób z personelu?

- Jest nocna zmiana i dwie dzienne pielęgniarki. Reszta w drodze.

- W porządku.

Dziewczyna wybiegła z sali.

Bevan pochylił się nad chłopakiem, którego reanimowano nad rzeką. Stojący obok pielęgniarz z pogotowia powiedział:

- Kiedy przyjechaliśmy, nie oddychał, nie miał tętna. Ale Bóg nad nim czuwał i udało nam się przywrócić go do życia.

Ponieważ chłopak wyglądał bardzo źle, Bevan oświadczył:

- Trzeba go nieustannie pilnować, siostrzo. Sztuczne oddychanie mu pomogło, ale przedtem tonął i może się okazać, że ma uszkodzone płuca albo odniósł inne obrażenia.

Ruszył do następnej ofiary: jęczącej z bólu młodej dziewczyny ze złamaną ręką. Przemoczona, czarna minispódniczka i wyszywana paciorkami bluzka oblepiały jej ciało.

- Rozbierzcie ją - powiedział Bevan do nadbiegających dwóch pielęgniarek. - Uważajcie na jej rękę. A potem zawieźcie ją do kliniki. I wszystkich ze złamaniami też.

- Usłyszałam o wypadku przez radio w samochodzie, więc przyjechałam - zadzwieczał kobiecy głos.

Cassandra obejrzała się i zobaczyła Lucinę Beckman.

Bevan uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili przyjazdu do szpitala.

- Bardzo mi miło. Jak pani widzi, mamy masę roboty. Czy pacjentów ze złamaniami mamy wysyłać do kliniki, czy poradzi pani sobie tutaj?

Cassandra pomyślała, że chociaż przybycie chirurga w takim momencie jest bardzo pożądane, wołałaby, żeby był nim doktor Grant. Dwa spotkania z Luciną tego samego dnia to trochę za wiele.

- Do kliniki - odrzekła Lucinda. - Dziwię się, że załogi karettek nie zawiozły ich tam od razu.

- Pewnie tutaj było im bliżej - powiedziała spokojnie Cassandra, nie przerywając opatrywania głębokiej rany na nodze młodej dziewczyny. - Na statku był tłum młodzieży i sanitariusze pewnie uznali, że tu lepiej poklasyfikujemy przypadki.

Poczuła, jak twarde spojrzenie zielonych oczu wbija jej się w kark i pożałowała, że się w ogóle odezwała. Wcale nie pragnęła zwracać na siebie uwagi Lucy Denver - jak się nazywała dawniej.

- No to jadę do kliniki wymusztrować personel - oznajmiła Lucinda ku uldze Cassandry. - Miło było cię znowu spotkać, Bevan.

- Wzajemnie.

Cassandra nie wierzyła własnym uszom. Przecież Bevan musi widzieć, że ta kobieta jest zimna: nawet nie mrugnęła, gdy powiedział, że jego brat jest pochowany na pobliskim cmentarzu, chociaż doskonale o tym wiedziała: była tam w dzień pogrzebu Darrena, ale trzymała się z daleka od jego rodziny i na wszelką krytykę reagowała arogancją, która doprowadzała Cassandrę do wrzenia.

Kiedy Lucinda odeszła, Bevan powiedział:

- Oto kobieta, która wie, czego chce, i bez wątpienia to zdobywa.

- W takim razie powinieneś się mieć na baczności.

- Chyba masz rację - odparł.

Po oczyszczeniu rany Cassandra rzekła do dziewczyny łagodnie:

- Niestety, będziemy to musieli szyć. Gdy tylko któryś lekarz będzie wolny, poproszę go o to.

W tym momencie wszedł policjant i zawołał:

- Chcemy się dowiedzieć, czy kogoś nie brakuje. Jest to trudne, bo nikt dokładnie nie wie, ile osób było na statku. Jeśli wiecie o kimś, kto tam był, a tu go nie ma, powiedzcie mi.

Właśnie z toalety wyszedł chłopak, który od chwili przyjazdu do szpitala nie przestawał wymiotować.

- Mój kolega - powiedział. - Razem skoczyliśmy do wody. Potem już go nie widziałem.

Policjant wyciągnął notes.

- Jak się nazywa?

- Phil Taylor.

- Mógłbyś go opisać?

- Wyższy ode mnie, rudy, piegowaty.

- Dobrze, dziękuję. Czy możecie wskazać kogoś jeszcze? - zwrócił się do pozostałych, ale nikt się nie odezwał.

- Czy twój kolega umie pływać? - spytał Bevan.

- Trochę, ale tam było pełno wodorostów, które oplątywały nogi. To było okropne!

W niedługim czasie cały personel szpitala stawiał się do pracy. Joan kazała rozstawić dodatkowe łóżka, przechowywane w magazynie na takie sytuacje, i poleciła załogom wolnych karettek, by przewoziły do kliniki rannych ze złamaniami.

Przez cały czas trzech lekarze dwoili się i troili, badając pacjentów, aplikując środki przeciwbólowe i operując najcięższe przypadki w gabinecie chirurgicznym.

Phila Taylora dotychczas nie znaleziono. Wszystko wskazywało na to, że tylko jego jednego brakuje - co zakrawało na cud, zważywszy że statek zatonął w najszerszym miejscu rzeki, gdzie

był silny prąd. Lecz nawet z tą jedną śmiercią trudno im było się pogodzić.

- Czy ktoś wie, jak to się stało? - spytał Bevan, stojąc przy jednym z rannych. - To dowodzi kompletnej nieodpowiedzialności! Pozwalać takiej masie dzieciaków tańczyć i pić na statku, który nie jest bezpieczny! Ale oto znowu nasza dzielna policja.

- Znaleźliśmy tego chłopaka - poinformował ich policjant.

- I co?

- Są oznaki życia, ale słabe. Kiedy zaczął reagować na reanimację, ruszyłem tu na motocyklu, żeby sprawdzić, czy nie ma na drodze jakichś przeszkód. Znalaziono go nieprzytomnego w wodzie. Pewnie uderzył o coś głową i stracił przytomność.

Joan, która właśnie weszła, powiedziała:

- Przed chwilą karetka połączyła się z nami przez radio. Powiedzieli, że wiozą go do nas, ale uznałam, że powinni pojechać do kliniki. Chłopakiem będzie musiał się zająć anestezjolog, a my nie mamy potrzebnej aparatury. Dlatego powinien pan sprawdzić, czy nie ma przeszkód na drodze w tamtym kierunku - zwróciła się do policjanta.

- Tak jest, proszę pani - odparł i natychmiast wyszedł. Po chwili usłyszeli oddalający się warkot silnika jego motocykla.

W końcu w szpitalu zapanował porządek. Większość młodych ludzi, po ustąpieniu objawów szoku i przechłodzenia, wróciła do domu; pacjenci ze złamaniami zostali przewiezieni do kliniki, a szesnaścioro pozostałych, z ranami ciętymi i silnymi stłuczeniami, zatrzymano na obserwację.

Joan poprosiła swych podwładnych, by przyszli na chwilę do jej gabinetu. Gdy wszyscy się już zebraли, powiedziała:

- Dziękuję wam. To, że nikogo nie zabrakło w tych trudnych

chwilach, dowodzi, że jesteście zgranym zespołem. Jestem z was dumna.

Bevan, Peter i Mike byli jeszcze w gabinecie zabiegowym. Joan postanowiła zostawić do ich dyspozycji połowę zmiany dziennej, a drugą połowę i całą zmianę nocną wysłać na kilka godzin do domu. Cassandra zaczęła protestować, lecz Joan była stanowcza.

- Nie spieraj się ze mną, Cassie - poprosiła. - Zobaczymy się w południe. Tymczasem jedź do siebie i prześpij się. Przecież wiesz, że Mark jest bezpieczny z Billem. Zadzwoń do nich i powiem, żeby cię nie budzili, kiedy przyjadą po mundurek.

- No dobrze - odparła niechętnie Cassandra.

Wolałaby przed odjazdem porozmawiać z Bevanem, ale słowa Joan brzmiały rozsądnie. Część personelu musi zregenerować siły, by w południe zastąpić zmęczoną resztę i zagwarantować szpitalowi normalną pracę.

Gdy otwierała samochód, w drzwiach szpitala stanął Bevan. W ręce trzymał kubek herbaty. Kiedy zawołał ją po imieniu, przypomniała sobie ów wieczór na szkolnym dziedzińcu. Teraz świt rozjaśniał niebo, a herbata nie była przeznaczona dla niej, niemniej nastrój był podobny.

Podeszła ku niemu i powiedziała cicho:

- Cieszę się, że jesteś. Joan kazała mi jechać do domu i wypać się, ale chciałam się przedtem zobaczyć z tobą.

- Dlaczego? - spytał zaskoczony.

- Żeby ci powiedzieć, że wspaniale się z tobą pracuje.

- Czy dobrze słyszysz? Pochwała z twoich ust? Ale dziękuję. Może pewnego dnia docenisz również to, co robię poza pracą. A może nawet kiedyś wejdę do grona tych nielicznych, którzy mogą ci mówić Cassie?

- Chciałabym, żebyś tak do mnie mówił - powiedziała miękko. - Cassandra to takie długie imię.

W innej sytuacji ta pełna czułości chwila mogła być niebezpieczna, dziś jednak oboje byli zbyt zmęczeni, a ją czekało jeszcze wyznanie mu prawdy. Ale nie potrafiła odejść, nie dotknąwszy go, więc pogłaskała go po policzku.

- Dobranoc, Bevanie - szepnęła. - Nie znam lepszego od ciebie lekarza.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem i rzekł:

- Zmykaj, Cassie. W południe zaczynasz dyżur.

- Kiedy skończycie?

- Już niedługo. Czy nie wiesz, co spowodowało tę katastrofę?

- Joan mówi, że według policji zatopiony pień drzewa. W każdym razie było to coś, co wybiło wielką dziurę w poszyciu. Kapitan twierdzi, że miał wtedy prędkość nie większą niż cztery węzły, ale takie statki robione są z drewna, a drewniane poszycie łatwo się rozpada przy silniejszym uderzeniu.

- A co z kapitanem i załogą? Też wpadli do wody?

- Część pewnie tak, ale on został na pokładzie do ostatniej chwili, a potem chwycił się jakiejś belki i pływał, dopóki go nie wyciągnięto z wody. To wszystko jest niewiarygodne! Statek wycieczkowy, płynący trzydzieści metrów od brzegu, zostaje uszkodzony tak, że tonie w kilka minut.

- Jednak chyba nawet takie statki powinny mieć szalupę ratunkową?

- Tak, ale ile osób może pomieścić taka szalupa? A poza tym podpici ludzie nie mają refleksu. Pewnie ta tratwa leży gdzieś na dnie rzeki, przymocowana do pokładu.

- To możliwe. Ale ja cię zatrzymuję, a powinnaś jechać. Wracaj do domu i nie zapomnij zablokować drzwi, zanim ruszysz.

Wprawdzie jest jeszcze wcześniej, ale lepiej się nie narażać na zaczepki chuliganów.

- Dobrze - obiecała wzruszona.

Od dawna nikt nie okazywał jej troski i te słowa sprawiły jej przyjemność.

Nadeszło piątkowe popołudnie. Cassandra miała mieszane uczucia, myśląc o spędzeniu tego wieczoru z Mikiem. Właściwie nie żałowała, że przyjęła zaproszenie, ale czuła, że w obecnym stanie ducha nie będzie dobrą towarzyszką zabawy. Ponadto obawiała się, by po tym wieczorze Mike nie zaczął sobie czegoś obiecywać.

Bevan nie rozmawiał z nią więcej o pójściu na zabawę. Personel szpitala musiał zajmować się swoimi zwykłymi pacjentami, a ponadto ofiarami katastrofy statku wycieczkowego, więc pracy było tak dużo, że Bevan i Cassandra ledwo mieli czas się przywitać. Jednak młodzi ludzie szybko przyszedli do siebie i do piątku wszystkich wypisano do domu.

Rozpoczął się weekend. Cassandra, wypoczywając przed zabawą w gorącej kąpieli, wróciła myślami do wtorku. Dzień ten był pełen na przemian dobrych i złych wrażeń. Najpierw radość, że stado Jarvisów okazało się zdrowe, potem konsternacja na widok Lucindy Beckman, następnie pogodny wieczór na farmie i wreszcie katastrofa na rzece. Ale to nie koniec: o świcie przeżyła niepowtarzalną chwilę z Bevanem.

Może wszystko dobrze się skończy? - pomyślała, wychodząc z wanny. On jednak oświadczył, że nie uznaje szarości: wszystko musi być albo czarne, albo białe. Wątpliwe, by to, co od niej usłyszy, uznał za białe. To jednak będzie dopiero jutro. Dzisiejszy dzień jeszcze nie dobiegł końca. Nie ma sensu martwić się na zapas.

Suknię, którą chciała włożyć, kupiła podczas styczniowej wyprzedaży. Mimo obniżonej ceny była bardzo droga, ale spodobała jej się jak żadna inna. Uszyta z ciemnozielonego brokatu, z obszernym dołem i dopasowaną górą, z długimi rękawami, podkreślała jasną karnację Cassandry i złoty blask jej włosów. Gdy zeszła na dół, zapinając na przegubie dłoni bransoletę, Mark spojrzął na nią z uznaniem.

- Czy to dla Bevana? - spytał.

- Nie - odparła chłodno. - To dla doktora Mike'a Drew. Tego blondyna w okularach.

- A, wiem - powiedział bez zainteresowania.

- Z Bevanem idę jutro wieczorem do restauracji - powiedziała łagodniejszym tonem.

Podniósł głowę znad sportowej gazety:

- Czy ja też? - spytał radośnie.

- Niestety, nie, kochanie. Będziemy tam tylko we dwoje.

- Dlaczego? - spytał zawiedziony. - Już dzisiaj muszę iść do kolegi. Okazuje się, że jutro też.

- Nie. Jutro wieczorem grasz w kregle w klubie młodzieżowym i wrócimy do domu o tej samej porze, a może nawet ja wrócę przed tobą.

- Ale dlaczego nie mogę iść z wami?

- Musimy omówić coś ważnego.

- Czy to ma coś wspólnego ze mną?

- Częściowo z tobą, częściowo ze mną, a częściowo z kimś jeszcze.

- To znaczy z Bevanem?

- Nie. Nie z Bevanem.

- To za bardzo skomplikowane. Dlaczego nie możemy po prostu wszyscy pójść do kina?

Przed dalszą dyskusją uchroniło ją przybycie Mike'a. Gdy jednak zobaczyła, czym Mike przyjechał, zupełnie straciła humor. Czerwony, sportowy kabriolet! Jechała już kiedyś takim samochodem. Był ciasny i tak niski, że czuła się, jakby siedziała wprost na jezdni. Do budynku, w którym odbywała się zabawa, było tylko dwadzieścia minut jazdy, ale mogła się założyć, że przybędzie tam rozczochrana i w pogniecionej sukni.

Mike, ujrawszy wyraz jej twarzy, spytał:

- Mam rozwinąć dach?

- Chyba tak - powiedziała cierpko, mając nadzieję, że reszta wieczoru poprawi jej nastrój.

Po drodze Mike rozwodził się nad jakimś lekiem, do którego usiłował go przekonać akwizytor pewnej firmy farmaceutycznej, i gdyby nie wiedziała, jak bardzo Mike jest zdenerwowany, poprosiłaby go o zmianę tematu. Jednak w tej sytuacji kiwała głową w odpowiednich momentach i uśmiechała się uprzejmie, gdy na nią patrzył.

Wreszcie dotarli do celu i gdy wmieszali się w dążący ku wejściu tłum, Cassandra poczuła się lepiej.

Miała nadzieję, że Bevan też tu będzie. Żałowała, że nie spytała go o to wcześniej. Gdyby przyszedł, może udałoby się jej spędzić z nim kilka chwil, mimo że przyszła w towarzystwie Mike'a.

Zasiadano do stolików, gdy Bevan ukazał się w drzwiach. Towarzyszyła mu Lucinda Beckman. Cassandra nie mogła uwierzyć własnym oczom. Zostali sobie przedstawieni dopiero kilka dni temu i już razem wychodzą? Przy pierwszym spotkaniu nie wywarła na nim najlepszego wrażenia, a jednak przyszła tu z nim, ubrana w suknię z dekoltem do pasa!

Na szczęście usiedli na drugim końcu sali. Cassandra myślała

o niej z taką samą niechęcią jak w przeszłości. Jakim cudem ta kobieta zdołała namówić Bevana, by jej towarzyszył?

A może wcale nie musiała go namawiać? Odnaczała się wyzywającą urodą i mogła mu się spodobać - tym bardziej że na pewno nie miała żadnych „odcieni szarości”.

Gdy wstawała, kiedy Mike zaprosił ją do tańca, zauważyła, że Bevan na nich patrzy, i posłała mu chłodny uśmiech.

- Czy to nie jest ta nowa asystentka Olivera Granta? - spytał Michael w drodze na parkiet.

- Tak - odparła krótko.

Spojrzał na nią niespokojnie.

- Nudzę cię, prawda?

- Wcale nie. Jesteś bardzo miły. Nie przypisuj sobie wad, których nie masz. Pewnego dnia spotkasz dziewczynę, która uczyni cię szczęśliwym.

- Ale to nie będziesz ty?

- Nie ja, ale na pewno poznasz taką dziewczynę.

Zagrała orkiestra i Mike spytał ze smutnym uśmiechem:

- Zatańczymy jednak?

- Dobrze - odpowiedziała po sekundzie wahania, obawiając się, że wkrótce tego pożałuje. Mike okazał się jednak całkiem dobrym tancerzem.

Bevan z Lucindą siedzieli przy stoliku na skraju parkietu. Dekroć Cassandra mijala ich w tańcu, jej poważny, pytający wzrok spotykał się z mrocznym, nieprzeniknionym spojrzeniem Bevana.

Wkrótce zauważyła, że Lucinda dużo pije.

- Następnym razem zatrzymajmy się przy Bevanie na kilka słów, dobrze? - zaproponował Mike.

Nie bardzo miała na to ochotę, ale odmowa zdumiałaby Mi-

ke'a i trzeba by było wymyślać jakieś wyjaśnienia, więc odparła z udaną swobodą:

- Czemu nie?

W końcu przecież marzyła o tym, żeby porozmawiać z Bevanem, żeby być blisko niego... nawet jeśli jest w towarzystwie kobiety, której nie lubiła.

- Czy nie zechcielibyście się do nas dosiąść? - spytał Bevan uprzejmie, gdy Cassandra i Mike zatrzymali się przy ich stoliku.

- Właśnie, siadajcie - powiedziała Lucinda, przyglądając się Cassandrze nieco szklistym wzrokiem. - Przecież wiesz, że się znamy.

Cassandrze zrobiło się gorąco.

- Tak, poznałyśmy się kilka dni temu w Springfield.

Lucinda machnęła ręką.

- Nie. Dawniej, kiedy się uczyłyśmy. To tobie Darren zrobił dziecko. Wiesz, że w każdym szpitalu jest telegraf bez drutu. Czegoś takiego nie da się ukryć.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Bevan uśmiechał się pobłaźliwie, patrząc na Lucinę, która najwyraźniej wypila zbyt dużo wina. Gdy jednak dotarły do niego jej słowa, spoważniał i spojrzał na Cassandrę z niedowierzaniem.

- Znałaś mojego brata?

Kiwnęła głową, nie mogąc wydobyć głosu.

- Oczywiście. Przecież mówię, że znała - ciągnęła Lucinda rwącym się głosem. - Chodziliśmy całą paczką, pielęgniarki na stażu i studenci medycyny. Najwięcej dziewczyn leciało na Darrena.

- Rozumiem - powiedział Bevan z namysłem. - To znaczy, że obie znałyście Darrena, ale tylko jedna przyznaje się do tego.

Mike poruszył się niespokojnie.

- Czy nie powinniście porozmawiać o tym gdzie indziej, Bevan? Pomyśl, jak Cassie się czuje.

- A czy ona pomyślała, jak inni mogą się czuć? - odparł Bevan ze złością.

- Uważam, że powinniście o tym porozmawiać w cztery oczy - powtórzył Mike.

Bevan nie słuchał go, lecz wskazawszy na Lucinę, zwrócił się do Cassandry:

- Czy ona mówi, że Mark jest synem Darrena? Że byliście kochankami?

Cassandra odzyskała wreszcie głos.

- Tak, Mark jest synem Darrena. Nie, nie byliśmy kochankami. - Bevan prychnął ironicznie, lecz nie dała mu się zbić z tropu. - Wiem, że powinnam ci była o tym powiedzieć, i wierzę mi, że chciałam, ale...

Nie pozwolił jej dokończyć:

- Na miłość boską, Cassandro! Jak mogłaś ukryć przede mną, że Mark jest moim bratankiem? A moi rodzice nawet nie wiedzą, że mają wnuka! Nie mogę tego pojąć. - Nagle ogarnęła go wściekłość i zawołał: - Zejdź mi z oczu!

Nie poruszyła się.

- Odejdź! Słyszałaś?!

Nadal nie była w stanie się poruszyć. Mike wziął ją za ramię i powiedział:

- Chodź, Cassie. On teraz nie jest w stanie logicznie myśleć.

- Logicznie myśleć?! - wybuchnął Bevan. - A co to ma do rzeczy? Od początku wiedziałaś, kim jestem! Gdyby nie Lucinda, pewnie nigdy nie poznałbym prawdy, tak?

- Nie - odparła spokojnie. - Miałam ci to powiedzieć jutro.

- I ja mam w to uwierzyć?

Cassandra poczuła, że narasta w niej gniew.

- Nie obchodzi mnie, czy uwierzysz, ale to prawda! A teraz posłucham cię i zejdem ci z oczu.

Odwróciła się i odeszła, podczas gdy Mike opiekuńczo obejmował ją ramieniem.

- Bevan wychodzi z ponętą Lucy u boku - poinformował ją Mike, gdy siadali przy stoliku.

- Nie bawił się dzisiaj dobrze - stwierdziła ponuro.

- Ty też nie. Ale co to za jęzda! Żeby publicznie mówić o takich rzeczach!

- Znalazła dobrego słuchacza. Niestety, mówiła prawdę. Nie mogłam zaprzeczyć.

- Odwiozę cię do domu.

- Nie, Mike. Zostajemy. Nie po to mnie zapraszałeś, żeby od razu rezygnować z zabawy. Nie zrobiłam nic, czego mogłabym się wstydzić, chyba że przestępstwem jest przemilczanie pewnych spraw.

- Oczywiście, że nie jest. Mnie nie interesuje twoja przeszłość. Dlaczego miałaby interesować Bevana?

- To nie takie proste. Ty nie byłeś jej częścią, a on był.

W końcu wyszli, ale dopiero wtedy, gdy Cassandra pokazała wszystkim, którzy mogli zauważyć gorącą wymianę zdań pomiędzy nią a Bevanem, że dalej dobrze się bawi.

Przywiózłszy ją do domu, Mike powiedział:

- No to do widzenia. Zostawiam cię, bo na pewno wolisz być teraz sama.

Popatrzyła na niego wzrokiem pełnym bólu i pomyślała: tak, wolę, bo samotność jest jedynym sposobem życia, jaki znam.

Mark został na noc u kolegi, więc miała cały dom dla siebie. Krążyła po pustych pokojach, myśląc o tej okropnej rozmowie z Bevanem i pijaną Lucindą.

Zabrakło tylko jednego dnia, myślała, żeby dowiedział się wszystkiego ode mnie, a przez tę wstawioną Lucindę on mnie znienawidzi.

No cóż, stało się. Teraz trzeba czekać na jego krok. Nikt nie może jej legalnie odebrać Marka, ale istnieje wiele sposobów rozdzielenia ich. Przede wszystkim interesująca nowa rodzina i człowiek, którego Mark zdążył polubić. Nie ma wyjścia. Teraz trzeba wszystko powiedzieć Markowi, i będzie to musiała zrobić ona.

O trzeciej w nocy zrobiła filiżankę kawy, usiadła przy kuchennym stole i jeszcze raz wszystko przeanalizowała. Nie miała wątpliwości: nie zrobiła niczego złego. Wszystkie racje leżały po jej stronie. Jeśli Bevan chce ją traktować jak wroga, to jego sprawa. Zdaje się, że on interesuje się jedynie własnymi uczuciami. Nic go nie obchodzi, że wprowadził chaos w jej życie. Wprawdzie zakochała się w nim, ale ta miłość przyniosła jej tylko problemy, które teraz jeszcze się spotęgują.

Przeszła do pokoju i usiadła w fotelu przed kominkiem. Po chwili zapadła w niespokojny sen.

Ocknęła się rano, obolała i zmęczona. Mark miał wrócić od kolegi dopiero po lunchu i była zadowolona, że ma jeszcze trochę czasu, by przygotować się do spotkania z synem, które miało tak bardzo zmienić jego życie.

Wzięła prysznic i natychmiast poczuła się lepiej. Weszła do sypialni i ujrawszy na łóżku swą ciemnozieloną suknię, pomyślała, że ilekroć po nią sięgnie, przypomni sobie słowa Lucindy: „To tobie Darren zrobił dziecko!”

Przed południem poszła po zakupy. Wprawdzie wcale nie miała ochoty na jedzenie, ale wiedziała, że Mark nie straci apetytu na wieść o swoim pokrewieństwie z Bevanem. Bez makijażu, w dżinsach i bawełnianej koszulce, z włosami związanymi w koński ogon nie wyglądała atrakcyjnie, ale nie dbała o to.

W drodze do centrum miasteczka ujrzała idącego w jej kierunku Bevana. Zatrzymała się i poczekała na niego. Gdy podszedł, spokojnie spojrzała mu w oczy.

Nie przywitał się, nie uśmiechnął, tylko powiedział chłodno:

- Jeśli chodzi o wczorajszy wieczór...

-Tak?

- Chciałbym ci wyjaśnić kilka rzeczy na wypadek, gdybyś myślała, że roszczę sobie jakieś prawa do twojego syna.

- Słucham.

- Przede wszystkim Mark nie dowie się niczego ode mnie. Nie chcę burzyć jego życia. Sama zadecydujesz, czy mu powiesz.

- A jeśli mu nic nie powiem, to dowie się od kogoś z grona twoich dobrych znajomych, co?

- Jeśli masz na myśli doktor Beckman, to nie sędzę, że bym mógł zaliczyć ją do tego grona.

- Znałeś ją na tyle dobrze, żeby zaprosić na zabawę.

- To ona mnie zaprosiła. Jesteśmy nowi w tej okolicy i oboje nie mieliśmy z kim pójść.

- Ciekawe, że roi się wokół ciebie od kobiet porzuconych przez twojego brata.

Brutalnie chwycił ją za ramię, a gdy próbowała się wyrwać, ścisnął je jeszcze mocniej.

- Najwyraźniej przesłaś już do porządku dziennego nad tym wczorajszym incydentem. Musiałaś się nieźle bawić moim kosztem.

- Nie było w tym nic zabawnego. Twój przyjazd przypomniał mi najgorszy okres mojego życia.

Wpatrywał się w nią z jakimś dziwnym namysłem i wreszcie powiedział:

- To ty podeszłaś wtedy do mnie na cmentarzu złożyć mi kondolencje. To ty namówiłaś Darrena, żeby się zachował jak ostatni idiota? Niewiarygodne, że cię nie rozpoznałem.

- To było dwanaście lat temu - przypomniała mu spokojnie.

- Wiem, ale mam dobrą pamięć do twarzy.

- Może to dlatego, że byłeś zbyt zajęty oskarżaniem mnie

i rozpamiętywaniem własnego nieszczęścia, że nie zwracałeś uwagi na moją osobę.

Spuścił wzrok.

- A może dlatego, że chciałem zapomnieć...

- Czy wciąż tego chcesz? - spytała ze smutkiem.

- Jeśli będę miał okazję, to tak... Ale nie będzie to łatwe, skoro gdziekolwiek się ruszę, spotykam ciebie. - Puścił jej ramię i dodał: - Chociaż gdybyśmy się postarali, moglibyśmy tak ułożyć nasze sprawy, żeby się więcej nie widywać.

Cassandra zamarła. To było gorsze niż jej wszystkie wyobrażenia. Bevan nie krył, że ma do niej żal o zatajenie jego pokrewieństwa z Markiem i dawał jej boleśnie do zrozumienia, że nie kocha jej, lecz że chodzi mu wyłącznie o jej syna. Gdyby mu na niej zależało, zrozumiałby, dlaczego chciała wszystko zachować w tajemnicy. Gdyby sytuacja uległa odwróceniu, ona nie potępiłaby go. Jej miłość byłaby wystarczająco silna, by zaakceptować go takim, jakim był, bez ciągłego wracania do przeszłości.

Ale jeśli postanowił wciąż ją ranić, to trudno. Teraz ważne jest tylko to, czy Bevan zmieni swój stosunek do Marka... I czy powiedział swoim rodzicom... Trzeba go o to zapytać wprost. Oni też nie wiedzieli, że Darren zostawił syna. Czy zareagują na tę wiadomość tak samo jak Bevan?

- Widzę, że nie chcesz spróbować zrozumieć mojej sytuacji - powiedziała z udanym spokojem - ale przynajmniej jesteś skłonny wziąć pod uwagę uczucia Marka, za co muszę ci być wdzięczna. Czy mogę uważać, że twój stosunek do niego się nie zmieni? Nie zaczniesz go gorzej traktować?

- Oczywiście, że nie - powiedział z oburzeniem. - Za kogo mnie masz? Mark w tym wszystkim jest zupełnie bez winy. Nie mam zamiaru karać go za twoje postęпки. Do końca mojego

pobytu tutaj będę zachowywał się wobec niego tak samo, chyba że zdecydujesz się powiedzieć mu prawdę. A jeśli się dowie, że jest moim bratankiem, nasza przyjaźń stanie się bliższa.

Cassandra zadrżała. Bevan doskonale wiedział, że Mark będzie zachwycony, dowiedziawszy się, że ma takiego wuja! Australijscy dziadkowie na pewno też nie będą posiadali się z radości. Jedyne ona będzie cierpiała. Straciła Bevana, a teraz będzie musiała patrzeć, jak odbierają jej Marka. Nie poprzez sąd, ale w praktyce do tego się to wszystko sprowadzi.

- Czy powiadomiłeś już rodziców?

- Nie. Najpierw chciałem porozmawiać z tobą. Będzie to dla nich wspaniała niespodzianka, ale też i wstrząs, tak jak dla mnie. To są starsi ludzie i o wiele trudniej im będzie zachować równowagę.

Cassandra spuściła wzrok i z roztargnieniem potarła stopą leżącą na chodniku kamyk.

- Jacy oni są?

- Moja matka jest podobna do mnie, z wyglądu i z charakteru.

- Żadnych odcieni szarości?

- Skąd wiedziałaś? - spytał ironicznie.

- A ojciec? - spytała, ignorując jego sarkazm.

- Jest to uroczy starszy pan, który w młodości był tak zwiariowany jak Darren.

Cassandra westchnęła. Tylko jej tego brakowało. Mark nagle otrzymuje rodzinę złożoną z godnego podziwu wujka, silnej, pewnej siebie babki, oraz dziadka, na którym wzorował się jego ojciec. Nie było w tym układzie miejsca dla niej - zapracowanej pielęgniarki, która dopiero niedawno stanęła na nogi finansowo i ułożyła sobie jakoś życie.

- Jak mogą zareagować na tę wiadomość? - spytała cicho.
- Trudno powiedzieć - odparł ponuro. - Ich pierwszy wnuk, Timothy, zginął, więc chyba się ucieszą, że mój nieodpowiedzialny brat sprawił im przed śmiercią drugiego wnuka.

- Mark ma swoje życie. Nie chcę, żeby musiał dla nich grać rolę twojego zmarłego dziecka.

- Ja też tego nie chcę. Kochali mojego syna i nikt im go nie będzie w stanie zastąpić, ale kiedy dowiedzą się o istnieniu Marka, pokochają go tak samo.

Cassandra poczuła przyływ smutku i lęku. Smutek był spowodowany wspomnieniem dramatu, jaki przeżył Bevan, oraz tym, że jej własna sytuacja nie pozwoliła jej ujawnić przed nim prawdy o Marku. Lęk ogarnął ją dlatego, że Bevan mówił o tym, czego zawsze się bała, a mianowicie, że Marslandowie mogą stać się dla jej syna ważniejsi niż ona. Jednak była im to winna... i Markowi też. Musi więc zacisnąć zęby i ze wszystkim się pogodzić.

- Myślisz, że tu przyjadą?

- Nie sądzę. Ojciec nie czuje się najlepiej, a matka nie zostawi go samego w tym stanie nawet dla nowego wnuka. Może się zdarzyć, że góra przyjdzie do Mahometa, ale na razie są to czyste spekulacje. Żeby Mark mógł się spotkać ze swoimi dziadkami, musi najpierw dowiedzieć się, że ich ma. A to już zależy tylko od ciebie.

- Wiem. Nie musisz mi tego wciąż przypominać. Przez całe życie starałam się robić tylko to, co było najlepsze dla Marka i dalej będę tak postępować. A teraz pozwól, że pójdę zrobić zakupy.

Gdy go mijala, powiedział:

- Myśle, że nasze spotkanie dziś wieczorem nie jest już ko-

nieczne. Zamiast tego pójdę odwiedzić Johna Forrestera. On przynajmniej nie ma tajemnic.

Cassandra przystanęła i odparła z gniewem:

- Doskonale cię wczoraj zrozumiałam. Nie musisz ciągle się skarżyć, jak bardzo cierpisz. Może kiedy skończysz rozczulać się nad sobą, pomyślisz, ile mnie to wszystko kosztuje!

Odwróciła się i odeszła energicznym krokiem, Bevan zaś patrzył na nią takim wzrokiem, jakby nie bardzo rozumiał, o co jej chodzi.

Mark bywał smutny, gdy wracał od swojego przyjaciela Richarda, którego liczna rodzina wiodła wesołe, chociaż według Cassandry trochę nieuporządkowane życie.

Zawsze zostawiała synowi czas na ponowne przystosowanie się do atmosfery własnego domu - chociaż ilekroć Mark gościł Richarda, ten zawsze zachwycał się panującym tu spokojem.

Dziś będzie tak samo, pomyślała, ujrzawszy syna.

Mark był przygnębiony. Szedł wolno, ze spuszczoną głową i w zamyśleniu uderzał w żywopłot znalezionym gdzieś patykiem.

Wkrótce będzie musiał się dowiedzieć... Modliła się, by nie zmieniło to ich stosunków, opartych na miłości i zaufaniu. Nie miała wątpliwości, jak Mark zareaguje na jej wyznanie, i czuła silny wewnętrzny opór przed ujawnianiem mu tej długo tajonej prawdy. Musi jakoś pokonać ten opór...

Jakże inaczej czułaby się, gdyby na słowa Lucindy Bevan zareagował zwykłą ludzką radością, zamiast uznać się za oszukanego. Wówczas sympatia, jaką sobie okazywali, mogłaby przekształcić się w miłość. Ale ona nie potrafiła zmusić się od razu do wyjawienia mu prawdy i teraz wszystko się popsuło, a Bevan wręcz ma do niej żal.

Dzisiaj odczuła to ponownie: był na nią zły, bo jej zachowanie uznał za oszustwo. Gdy przygotowywała sobie lunch, wciąż rozmyślając nad tą kwestią, czarno widziała przyszłość. Jak ma sobie poradzić z tym wybuchowym mężczyzną i z chłopcem, tak do niego przywiązanym?

Jedno tylko musiała przyznać Bevanowi: że nie pognał od razu do Marka z informacją, że jest jego wujkiem. Decyzję pozostawił jej. Chociaż prawdę mówiąc, nie miała wyboru: musi poinformować Marka o wszystkim, skoro jej tajemnica przestała być tajemnicą i wkrótce ktoś inny zdradzi ją Markowi.

- Cześć, mamó! - powiedział, wchodząc do domu.

- Dzień dobry, kochanie. Dobrze się bawiłeś u Richarda?

Uśmiechnął się.

- Jasne, zawsze się u niego dobrze bawię. Zwłaszcza kiedy wiem, że nie jesteś sama. Jak było na zabawie?

- Nieźle.

- Ten Mike Drew odwiedził cię do domu?

- Tak.

- A był tam Bevan?

- Tak.

- Z kim?

- Z nową lekarką, Lucindą Beckman.

- O, a jak ona wygląda?

Cassandra roześmiała się.

- Czemu cię to interesuje? A o wygląd mojego partnera nie pytasz?

- Wcześniej mi go opisałaś: jasne włosy, niebieskie oczy, okulary.

- Jest też łagodny i troskliwy - dodała - natomiast Lucinda Beckman jest zarozumiała i hałaśliwa. Ale nie będziemy teraz

analizować charakterów innych ludzi. Muszę z tobą porozmawiać o czymś znacznie ważniejszym.

Mark stał przy lodówce i nalewał mleko do szklanki, ale coś w tonie jej głosu sprawiło, że przerwał i spojrział na nią.

- Coś się stało?

Usiłując zachować spokój, poprosiła:

- Chodźmy do pokoju.

Widząc niepokój w brązowych oczach syna, tak podobnych do oczu Bevana, dodała:

- Nie martw się. Jest to coś, co ci się spodoba.

- O co chodzi?

- O twojego ojca.

- Ojca? - spytał zaskoczony.

- Tak. Nigdy nie rozmawialiśmy o nim zbyt wiele.

- Tak, bo ile razy pytałem o niego, mówiłaś tylko, że zginął w wypadku.

Cassandra westchnęła.

- Tak. Otóż... on rzeczywiście zginął w wypadku, ale to była jego wina. Był pijany i ktoś namówił go, żeby wszedł na wieżę kościelną. Spadł i zabił się na miejscu.

Twarz Marka pobladła.

- I ty myślisz, że to mi się spodoba? Że mój ojciec był popisującym się przed innymi durniem?

- To tylko wstęp do następnej informacji. Twój ojciec nazywał się Darren Marsland. Czy to ci coś mówi?

- A powinno?

- Darren Marsland - powtórzyła dobitnie. - Nie znasz tego nazwiska?

- Bevan! To znaczy, że oni byli krewnymi?

- Tak. Braćmi.

- Hura! - zawołał. - Ale się chłopaki z drużyny zdziwią, kiedy im powiem!

Cassandra uśmiechnęła się z ulgą, widząc jego radość.

- To jeszcze nie koniec.

- Coś jeszcze?

- Tak. Masz w Australii dziadków.

- Dlaczego wcześniej nie powiedziałeś mi tego wszystkiego?

- Bo Darren i jego brat głęboko mnie zranili. Dlatego postanowiłam, że nigdy więcej nie spotkam się z Marslandami. Dopiero kiedy Bevan tu przyjechał, zaczęłam mieć wątpliwości, czy moja decyzja była słuszna.

Mark wiercił się na krześle.

- Czy on wie? Czy Bevan wie, kim jestem?

- Tak. Dowiedział się wczoraj.

Nie zamierzała mówić Markowi, w jaki sposób.

- Był zadowolony?

- Tak, bardzo.

- Więc mogę iść do przychodni, żeby się z nim zobaczyć?

- Tak, oczywiście. Ale ja zostanę. Dziś już z nim rozmawiałam.

Mark był przy drzwiach, ale słysząc te słowa, zatrzymał się i spytał:

- Ale przecież lubisz go?

- Tak, oczywiście - zapewniła syna - chociaż często mamy odmienne poglądy na różne sprawy.

- Przeze mnie?

- Nie. Przeze mnie. Ale nie musisz się o to martwić. A teraz biegnij do przychodni. Bevan na pewno się ucieszy.

- Fajnie. Lecę - powiedział radośnie i wyszedł.

Udawany spokój gdzieś zniknął i Cassandra poczuła, że za-

czyna drzeć. Usiłując się opanować, pomyślała: Teraz dopiero się zacznie. Bevan nie może na mnie patrzeć, a Mark jest w siódmym niebie. Co to będzie...

Pierwszym pytaniem Joan, gdy się rano spotkały w pracy, było:

- Gdzie zniknąłeś w piątek wieczorem? I Bevan też tak szybko wyszedł?

- Wyszedłem z Mikiem wcześniej, ale Bevan wyszedł dużo wcześniej.

- Czy to przez to, że doktor Beckman za dużo wypijał?

- Nie - uśmiechnęła się smutno Cassandra. - Przez to, że powiedziała mu o Darrenie i o mnie. Przypomniała sobie mnie i wyplątała wszystko tak, że jaśniej nie można.

- Powiedziała mu, zanim ty zdążyłaś to zrobić!

- Tak.

- I co?

- Był wściekły. Uważa, że jestem fałszywa.

- O Boże, to niedobrze. A Mark? Czy dowiedział się o tym wszystkim?

- Powiedziałam mu, i oczywiście zaczął skakać z radości.

Joan patrzyła uważnie na przyjaciółkę. Widząc głębokie cienie pod jej oczami i nieszczęśliwy wyraz twarzy, powiedziała:

- Rozumiem i jego, i twój punkt widzenia. Bevan nie może pojąć, jak mogłaś to przed nim zataić, zwłaszcza że się zaprzyjaźniliście. A ty z kolei myślisz, że samotnie dźwigałaś cały ciężar wychowywania Marka i związane z tym brzemie odpowiedzialności. Wielka szkoda, że to wszystko tak wyszło. Zależy ci na nich obu i przez to tak cierpisz. Może ja powinnam przedstawić Bevanowi twój punkt widzenia?

- Nie! Proszę cię, nie mieszaj się do tego. Jeśli Bevan nie potrafi zrozumieć, co czuję, to znaczy, że dzieli nas bariera nie do pokonania. Lepiej, że już teraz przekonałam się, że nie jest to mężczyzna dla mnie.

- Więc dalej go kochasz?

- Tak - odrzekła cicho Cassandra. - Ale najwyraźniej wciąż nie mam szczęścia do mężczyzn. - Spojrzała na zegarek. - Za pięć ósma. Szpital nas potrzebuje.

Joan usiadła za biurkiem i zaczęła przeglądać pocztę, a Cassandra ruszyła na poranny obchód. Przejrzała listę pacjentów przysyłanych z kliniki i upewniła się, czy gabinet zabiegowy jest odpowiednio przygotowany.

Te rutynowe czynności przywróciły jej spokój: praca w tym małym, prowincjonalnym szpitalu okazała się jej jedyną ostoją. Panująca tu atmosfera troski stanowiła balsam dla jej zranionej duszy. Gdy przywieziono pacjenta z objawami ataku serca, a następnie skierowanego tu przez Bevana hemofilika z wylewem do stawu kolanowego, zapomniała o swoich problemach.

Wychodząc z bufetu po lunchu, natknęła się na czekającego na nią Mike'a. Wczoraj zadzwonił do niej, by spytać, jak się czuje. Gdy usłyszał, że wszystko jest w porządku, nie przedłużał rozmowy, za co była mu wdzięczna.

Teraz przyszedł zamienić z nią kilka słów.

- Czy coś się poprawiło między tobą a Bevanem? - spytał cicho.

- Chyba nie, ale Mark jest szczęśliwy.

- Więc jednak coś się zmieniło?

Kiwnęła głową, pragnąc, by nie zadawał więcej pytań, a równocześnie zdając sobie sprawę, że ma prawo wiedzieć, z jakiego powodu, zepsuli mu piątkową zabawę.

- Kochasz Bevana, prawda?

No i masz ci los!

- Skąd ci to przyszło do głowy?

- Widziałem, jak patrzyłaś na niego, kiedy wpadł w furję.

Byłaś wstrząśnięta.

Poczuła, że się czerwieni. Wcale nie chciała, żeby Mike wiedział o jej uczuciu do Bevana, więc powiedziała cierpko:

- Każdy poczułby się wstrząśnięty, gdyby jakaś pijana baba wygadała jego najskrytszą tajemnicę.

- Tak... oczywiście - rzekł pojednawczym tonem.

Ku uldze Cassandry w tym momencie zabrzączał jego pager, co uwolniło ją od dalszych pytań.

Należało się spodziewać, że Bevan przyjedzie do szpitala, by sprawdzić stan przysłanego przez siebie pacjenta. Będzie chciał osobiście upewnić się, czy chory otrzymuje niezbędną w takich przypadkach globulinę antyhemofiliową oraz przekonać się, jaki jest jego ogólny stan.

Ku konsternacji Cassandry Bevan zjawił się właśnie wtedy, gdy stała przy łóżku chorego na hemofilię miejscowego adwokata, słuchając ze współczuciem jego opowieści o tym, jak okrutnie potraktowała go natura. Bevan przysłuchiwał się pacjentowi w milczeniu.

- Nikt z mojej rodziny nie chorował na to przedtem - mówił prawnik. - Dopiero u mnie to wykryli, a ja, idiota, przekazałem ten gen mojej córce. Żona nie może mi tego wybaczyć, chociaż to ona sama chciała zaryzykować, bo tak bardzo pragnęła mieć dziecko.

Bevan przerwał mu:

- Człowiek chory na hemofilię, a nie wiedzieć czemu tylko

mężczyźni rodzą się z tą wadą genetyczną, przekazuje chorobę wszystkim swoim córkom. Córki z kolei mogą zostać nosicielkami i przekazać chorobę synom, co zaistniało w przypadku pańskiej matki, albo stworzyć następne pokolenie nosicielek, ale to ostatnie zdarza się rzadko.

- Tak, wiem. Oczywiście nie mieliśmy więcej dzieci, tylko ją, a teraz ona jest w ciąży.

- I robi coś w tej sprawie?

- Jutro ma biopsję kosmówki, żeby stwierdzić, czy płód ma hemofilię. To jest jeden z powodów mojego upadku, po którym zaczął się ten wylew. Przez ostatnie tygodnie, po tym, jak dowiedzieliśmy się, że Janine jest w ciąży, byliśmy z żoną tak zabiegani, że wprost słańałem się na nogach. Nauczono mnie, jak sobie radzić w przypadkach wylewów, ale obecny tu doktor Marsland uznał, że powinienem pójść do szpitala, bo tym razem wylew jest gorszy niż zwykle.

- Miejmy nadzieję, że córkę ucieszą wyniki badania - rzekła Cassandra łagodnie. - Na razie musimy się zająć pana zdrowiem. To nie pana wina, że odziedziczył pan ten nieszczęsny gen. Ale my jesteśmy po to, żeby do minimum ograniczyć wynikające z tego niedogodności. Teraz zostawiam pana pod opieką doktora Marslanda - oznajmiła, nie spojrzawszy nawet na Bevana.

Zamiast asystować przy badaniu, wyszła i poleciła jednej z pielęgniarek, by w razie potrzeby pomogła lekarzowi.

Tego właśnie chciał, pomyślała z goryczą. Żeby zeszła mu z oczu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Bevan odszukał ją kilka minut później, gdy nadzorowała wydawanie leków dla pacjentów.

- Chciałbym zamienić z siostrą kilka słów, jeśli ma siostra wolną chwilę - oświadczył.

Cassandra pomyślała, że nie ma teraz ochoty na kolejne starcie. Może jednak on jest tego samego zdania co ona i uważa, że nie powinni mieszać prywatnego życia z pracą.

Nieświadom jej myśli, poprowadził ją do ogrodu.

Cassandra nie odzywała się. On jej szukał, więc niech on zacznie. A jeśli ma to być sprawozdanie ze spotkania z Markiem, to może sobie darować. Już wczoraj dowiedziała się od rozgoryczowanego syna, jak to Bevan cieszy się, że jest jego wujkiem, i że się teraz będą często spotykać i robić masę fajnych rzeczy, a może...

Gdy Mark przerwał, by nabrać powietrza, powiedziała:

- To wszystko brzmi wspaniale. Czy nie masz do mnie żalu, że wcześniej nie powiedziałam ci, kim jest Bevan?

Spojrzał na nią poważnie i odpowiedział jak dorosły:

- Nie, mamo. Zrobiłaś to, co uważałaś za najlepsze. - Po czym dodał z wesołym uśmiechem: - Gdybym od początku wiedział, że Bevan jest moim wujkiem, mógłbym się denerwować, że coś zrobię źle. O wiele lepiej wyszło, że najpierw go poznałem, a później się o tym dowiedziałem.

Cassandra przyjęła to z wielką ulgą. Przynajmniej jeden kamień spadł jej z serca: sprawa ta nie rozdzieliła jej z synem. Będzie tylko musiała pogodzić się z jego entuzjazmem dla Bevana, niemniej spodziewała się, że po kilku tygodniach nowa sytuacja spowszednieje Markowi i wszystko zacznie wracać do normy.

- Chciałaś wiedzieć, jak zareagują moi rodzice na wiadomość o wnuku - powiedział Bevan.

Cassandra skinęła głową.

- Gdy minęło pierwsze zaskoczenie, bardzo się ucieszyli. Matka zadzwoniła potem do mnie i powiedziała, że chcą go zobaczyć.

- Ale przecież mówiłeś, że ojciec nie może podróżować?

- Dlatego proszą, żebym przywiózł Marka do Brisbane.

Cassandra zamarła. Nie było ani słowa o niej. Nie powiedział „żebyśmy przywieźli Marka”, tylko „żebym przywiózł Marka”.

- I co powiedziałaś?

- Nic, bo wtedy jeszcze nie wiedziałem, co powiesz Markowi.

- A teraz?

- Decyzja jak zwykle należy do ciebie. Chociaż uważamy, że jesteś nam to winna, Cassandro.

Uzmysłowiła sobie, że przestał mówić do niej „Cassie”. Ich przyjaźń była bardzo krótka.

Milczała przez chwilę.

- Czy ty mnie słuchasz? - spytał zirytowany.

- Tak. Właśnie znowu powiedziałaś, że to zależy ode mnie. Jesteś bardzo sprytny. Wiesz doskonale, że nic tu nie zależy ode mnie. Kiedy Mark się dowie, że dziadkowie z Australii zapraszają go w odwiedziny, nie będą miała żadnego wyboru.

- Przecież wiesz, że pod moją opieką nic mu się nie stanie

- powiedział łagodniejszym tonem. - Wielkanoc jest tuż-tuż, więc jak?

- Obiecał pracować na farmie Jarvisów. A co będzie z twoją pracą w przychodni? - Gorączkowo szukała argumentów.

- Obie przeszkody są do pokonania. Na pewno Bill nie będzie Marka zatrzymywał, gdy się dowie, o co chodzi, a John już prawie całkiem wyzdrowiał i bez wątpienia będzie mógł wrócić do pracy na kilka dni. - Patrzył na nią przez chwilę, po czym dodał: - To nie jest jakaś tam wycieczka. Czekaliśmy na to bardzo długo.

- Bzdura! Jak mogliście czekać na coś, o czym w ogóle nie wiedzieliście!

- W porządku, jeśli już musisz dzielić włos na czworo! Ale nie mów mi, co to jest czekanie.

- O co ci chodzi?

- Myślałem, że znalazłem coś więcej, coś, na co czekałem przez długie lata, ale pomyliłem się.

- Na co czekałeś? - spytała niepewnie.

- To ci lepiej wyjaśni niż słowa - powiedział, po czym objął ją i zaczął całować.

Cassandra przestała nad sobą panować. Odwzajemniła pocałunek i objęła go z całej siły, pełna rozpacz, a jednocześnie szczęśliwa. Jednak po chwili oprzytomniała, szarpnęła się i wyrwała z jego objęć.

- Jak śmiesz! Kiedy dowiedziałeś się o Marku, potraktowałeś mnie jak typowy Marsland. Jesteś tak samo podły i niemoralny jak Danen, tylko jeszcze bardziej arogancki. Najpierw widzisz we mnie przestępczynię, potem chcesz decydować o losie mojego syna, a gdy nadarzy się okazja, sprawdzasz, czy nie udałoby się wykorzystać mnie jako kochanki! Powiedziałeś, że nie mo-

żesz na mnie patrzeć. No więc dowiedz się, że odwzajemniam twoje uczucia! A w przyszłości, jeśli będziesz miał do mnie jakieś osobiste sprawy, załatwiał je poza godzinami pracy!

Spojrzał na nią posepnie, lecz jego twarz jakby złagodniała, co zastanowiło Cassandrę.

- Więc co powiesz na moją propozycję?
- Którą masz na myśli? Tę przekazaną słowami czy tę bez słów?
- Słowami. Wyjazd Marka do Australii. A co do tego drugiego to uległem impulsowi i postaram się więcej tego nie robić.

W drzwiach szpitala stanęła pielęgniarka i spojrzała na nich wyczekująco.

Cassandra, kilkoma szybkimi ruchami poprawiwszy strój i czepek, odparła:

- Myślę, że nie mam wyboru i nie mogę odmówić, ale pozwól, że porozmawiamy o tym innym razem.

Następnie, ignorując błysk satysfakcji w jego oczach, wróciła do swoich obowiązków.

Gdy wieczorem wspomniała Markowi o możliwości wyjazdu do Australii, chłopiec uśmiechnął się radośnie.

- Bevan proponuje, żebyście pojechali w czasie ferii wielkanocnych.

Mark zrobił smętną minę.

- Ale obiecałem, że w czasie ferii będę pomagać na farmie.
- Wiem. Niemniej jestem pewna, że Bill Jarvis nie będzie się sprzeciwiał, gdy usłyszysz, do kogo się wybierasz.
- Chętnie pojedę do Brisbane, ale tylko wtedy, kiedy pojedziesz z nami.

- Niestety, nie mogę wziąć teraz urlopu, a nawet gdybym mogła, nie powinnam zostawić Joan samej tuż przed inspekcją,

mającą zdecydować o naszej przyszłości. Ale jeśli nie masz ochoty jechać do obcego kraju, żeby poznać obcych ludzi, to nie musisz.

- Nie, to nie to. Po prostu nie chcę, żebyś została sama.

- To tylko trzy tygodnie - powiedziała lekkim tonem - a jeśli będę się czuła samotna, zawsze mogę spotkać się z Joan i Billem albo Michaeliem Drewem czy doktorem Johnem.

Gdyby wyjawiała mu, że nie pojedzie, bo jej nie zaproszono, zepsułoby to jego radość. Postanowiła więc zasłaniać się niemożnością wyjazdu ze względu na pracę, chociaż wiedziała, że Joan sama namawiałaby ją na tę wyprawę.

- Nie dałam jeszcze Bevanowi odpowiedzi. Idź do niego i powiedz, że pozwalam ci jechać.

Mark w jednej chwili wypadł z domu. Cassandra usiadła i zaczęła rozmyślać nad swoim losem.

Chyba ma źle w głowie, że pozwala Markowi samemu jechać na drugi koniec świata z człowiekiem, który tak ją traktuje. Ale obiektywnie rzecz biorąc, Bevan jest rzetelny i można na nim polegać. Na pewno otoczy opieką każdego, kogo kocha. Szkoda, że ona nie zalicza się do tego kręgu. Niestety, jest tylko ledwo tolerowaną matką jego bratanka. A może to i lepiej, że nie pojedzie do Australii? Gdyby dziadkowie Marka potraktowali ją tak jak Bevan, nie zniosłaby tego.

Wpół do jedenastej, gdy Mark już spał, ktoś zastukał do drzwi. Cassandra włożyła szlafrok na koszulę nocną, podeszła do drzwi i uchyliła je, założywszy najpierw łańcuch.

Za drzwiami stał Bevan.

- Mogę wejść na chwilę? - spytał, patrząc na nią bez uśmiechu.

Skinęła głową i zdejmując łańcuch pomyślała, że jak na ludzi,

którzy powinni trzymać się od siebie z daleka, widują się zbyt często.

- Cieszę się, że pozwoliłaś Markowi jechać do moich rodziców - powiedział, gdy zamknęła drzwi.

- Nie wątpiłam, że się ucieszysz. Więc w czym problem?

- Przyszedłem spytać, dlaczego nie chcesz jechać z nami.

- Co? - spytała zdumiona. - Przecież wiesz dlaczego. Nie zostałam zaproszona!

Uniósł brwi.

- Może nie wyraziłem tego słowami, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że pozwolisz mi zabrać Marka bez ciebie.

Poczuła ulgę, z potem złość.

- Ach tak! No więc myliłeś się - stwierdziła chłodno. - Tak się składa, że pozwalam ci zabrać Marka beze mnie. Jesteś zaradczą i arogancką, ale wiem, że dla Marka będziesz dobry. Markowi powiedziałam, że chodzi o sprawy zawodowe, ale prawdziwy powód jest inny: nie mam zwyczaju wpychać się tam, gdzie nie jestem mile widziana.

- Więc mam kupić bilety tylko dla nas dwóch?

- Tak. Będę ci wdzięczna, jeśli poinformujesz rodziców, że zostałam nie dlatego, że nie chcę ich poznać. Powiedz mi też, ile mam zwrócić za bilet Marka.

- Na miłość boską! - wybuchnął. - Czy musisz być tak cholernie niezależna? Ja zaproponowałem wyjazd do Australii i ja pokryję koszty.

- Jak sobie życzysz.

- To niewiarygodne - powiedział zdenerwowany. - Twoja uroda powaliłaby na kolana każdego, ale ten twój twardy charakter...

- Tak? A kto zmusił mnie, żebym była taka? Przemyśl to sobie. Poświęć mi kilka minut z czasu, w którym rozczulasz się

nad sobą. Myślisz, że mi się nie podobasz? Jesteś jedynym mężczyzną, na którego od lat zwróciłam uwagę, jedynym, który sprawił, że znowu poczułam się kobietą, a ty uważasz mnie za nienormalną samotną matkę, a równocześnie za osobę, która może spełnić twoje potrzeby erotyczne, ilekroć przyjdzie ci na to ochota.

- Nie poznałaś ani połowy moich potrzeb erotycznych - powiedział, zbliżając się do niej. - Chciałabyś? To zdejmij szlafrok i koszulę, chociaż z powodu Marka będziemy musieli zachować ciszę, bo nie chciałbym, żeby wyciągnął jakieś niesłuszne wnioski.

Cassandra jak we śnie rozwiązała szlafrok i pozwoliwszy mu opaść na podłogę, zaczęła zsuwać z ramion koszulę.

W tym momencie dotarły do niej ostatnie słowa Bevana: on nie chce, żeby Mark wyciągnął jakieś niesłuszne wnioski! Nie chce, żeby Mark zobaczył, jak obejmuje się dwoje ludzi, których najbardziej na świecie kocha, nie chce, by jej syn pomyślał, że odtąd będą już razem! Cofnęła się i szepnęła z wściekłością:

- Znowu chciałeś to zrobić. Znowu chciałeś mnie wykorzystać, choć mnie lekceważysz!

- Ty naprawdę tak myślisz, co? - spytał ponuro. - Pewnie dlatego nie chcesz z nami jechać.

Odwrócił się, otworzył drzwi i wyszedł.

Następnego dnia rano powiedziała Joan, że w Wielkanoc przyjdzie do pracy.

- Jesteś pewna?

- Oczywiście. Miałam mieć wolne w te święta, ale ponieważ Mark wyjeżdża, niech ktoś inny skorzysta z okazji.

- Dobrze - zgodziła się Joan. - W piątek mnie nie będzie, ale

w poniedziałek wielkanocny przychodzę. Chcę się lepiej przygotować do inspekcji. - W zamyśleniu wyjrzała przez okno i po chwili stwierdziła: - To absurdalne, żeby przyszłość Springfield zależała od trzech osób, skoro my wiemy, że szpital funkcjonuje wspaniale i jest bardzo ważnym elementem lokalnej społeczności. Niestety w dzisiejszych czasach liczy się każdy grosz. Popatrzyła na zadbane trawniki i klomby kwiatowe.

- Cokolwiek by inspektorzy powiedzieli o szpitalu, to ogród muszą pochwalić. Nasi ogrodnicy spisują się na medal. Cassie, a co byś powiedziała na to, żeby pracownicy, którzy nie mają dyżuru, spotkali się w pubie w piątek wieczorem, kiedy będziecie już mieć za sobą tę ciężką próbę?

- Myślę, że wszystkim się to spodoba - odparła Cassandra.
- Ja na pewno przyjdę; Mark będzie w Australii.

Joan spojrzała na nią uważnie.

- Jak się czujesz, wysyłając Marka do jego dziadków?
- Okropnie, zwłaszcza że z nim nie jadę.
- Jednak pewnie Bevan oczekiwał, że z nimi pojedziesz?
- Tak powiedział, ale chyba nie myślał tego. Czekał, aż powiem Markowi, że zostaję, a potem udał zdziwienie.
- A nie martwisz się, oddając Marka na trzy tygodnie pod jego opiekę?

- Nie jestem tym specjalnie zachwycona, ale wiem, że mogę Bevanowi zaufać. Poza tym on lubi Marka, a Mark go ubóstwia, więc na pewno będą się dobrze czuli w swoim towarzystwie. Jednak wytrąca mnie z równowagi myśl, że nasze życie się zmienia, że przestaję decydować o jego kształcie.

- Oczywiście, że wasze życie się zmienia. Po pierwsze, jesteś zakochana. Po drugie, twoja rodzina niespodziewanie powiększyła się o trzy osoby, na co nie miałaś żadnego wpływu. Gdy-

byście tylko z Bevanem mogli się jakoś dogadać... Zdaje się, że wciąż się kłóćcie?

- Wiesz, coś nas do siebie ciągnie, ale rzeczywiście nie potrafimy spokojnie rozmawiać.

- Jeśli jest tak, jak mówisz, to chyba się uda - uśmiechnęła się Joan.

- Bo ja wiem... - odparła ze smutkiem Cassandra. - Z Darrenem było tak samo i popatrz, do czego mnie to doprowadziło. Nie mam zamiaru drugi raz wpaść w tę samą pułapkę.

- Mówimy o dwóch różnych osobach. Bevan nigdy by cię tak nie skrzywdził.

- Już to zrobił. Odkąd odkrył mój grzech młodości, zaczął patrzeć na mnie z góry, łagodnie mówiąc.

- Może zazdrości bratu, że byłaś jego dziewczyną?

- Nie ma czego zazdrościć. Byłam wtedy okropnie głupia i naiwna.

Zajęcia w szkole kończyły się w piątek, a w sobotę Bevan i Mark mieli lecieć do Australii. Pośród pospiesznych przygotowań do niespodziewanej podróży syna Cassandra nie miała czasu myśleć o swoim cierpieniu. Skompletowała garderobę Marka, kupiła mu także aparat fotograficzny.

Gdy wreszcie nadeszła sobota i Bevan miał się zjawić po Marka, poczuła łzy pod powiekami. Nie chcąc jednak martwić chłopca, powiedziała dzielnie:

- Przywieź mi piękne zdjęcia Australii... Pewnie Bevan powie ci, że jego ojciec nie czuje się najlepiej, ale z tego, co wiem, twoja babcia jest zdrowa i pełna sił. Bevan mówi, że jego mama jest podobna do niego, więc na pewno się polubicie.

- Na pewno - odparł wesoło Mark.

Najwyraźniej zupełnie nie był świadom faktu, że stosunki pomiędzy matką a rodziną Marslandów są napięte.

Cassandra sądziła, że pani Marsland zadzwoni do niej choćby po to, by usłyszeć głos matki wnuka, który nagle pojawił się w jej życiu, ale z Australii nie było dotychczas ani telefonu, ani listu... Najwyraźniej pani Marsland nie uważała za stosowne zniżyć się do rozmowy z nią.

Gdy Bevan podjechał pod dom, serce zabiło jej szybciej, jak zawsze, gdy znalazł się blisko niej. Nie widzieli się od tego wieczora, kiedy przyszedł spytać, dlaczego z nimi nie jedzie. Dzwonił kilka razy, ustalając szczegóły związane z wyjazdem, i rozmawiali wówczas z uprzejmością obcych sobie ludzi. Poza tym unikał jej.

Teraz szedł ku drzwiom swoim zwykłym, energicznym krokiem, uśmiechając się do Marka.

Cassandra nie poruszyła się. Za kilka godzin będzie stała na lotnisku, patrząc na samolot unoszący w dal jej syna, tak jej drogiego, i mężczyznę, którego kochała. Zapragnęła, by czas cofnął się do tego idyllicznego wieczoru na farmie, gdzie wszyscy troje byli tak szczęśliwi.

- No jak, wszystko gotowe? - spytał Bevan Marka.

- Jasne - uśmiechnął się Mark.

Bevan spojrział na milczącą Cassandrę.

- Co będziesz robiła przez te trzy tygodnie? - spytał, widząc jej bladą twarz i wymuszony uśmiech.

- Różne rzeczy - odparła lekkim tonem. - Po inspekcji idziemy do pubu, a poza tym będę odwiedzać Johna Forrestera i pilnować, żeby się nie przemęczał.

- Dobry pomysł. Zrobiłem porządek w gabinecie, żeby wszystko było jak dawniej, kiedy John przyjdzie tam w ponie-

działek. A co do tego spotkania w pubie, to czy lekarze też są zaproszeni?

- Chyba tak. Myślę, że przyjdzie Peter Abbotsford i Michael Drew.

Bevan zmarszczył brwi.

- Jasne. Więc sympatyczny doktor Drew dotrzyma ci towarzysztwa? ■■

Cassandra spojrzała na niego ze zdumieniem. O co mu chodzi? Chyba nie jest zazdrosny, skoro nie ma o niej zbyt wysokiego mniemania.

Mark kręcił się niespokojnie, chcąc już ruszać w drogę. Bevan podniósł jego walizkę.

- Dopilnuję, żeby Mark regularnie do ciebie dzwonił - obiecał, po czym dodał bez uśmiechu: - Dbaj o siebie, Cassandro.

- Nie martw się - odparła lekkim tonem, ukrywając wzruszenie, wywołane tą miłą uwagą. - Robię to od wielu lat, bo nie znalazł się nikt, kto chciałby to robić za mnie.

Odwrócił się z kamiennym wyrazem twarzy i poszedł ku drzwiom. Ruszyła za nim. Miała ochotę dotknąć jego ramienia, zatrzymać go i powiedzieć, jak bardzo chce z nimi pojechać, ale bała się, że ją odtrąci.

A poza tym i tak jest już za późno. Odprowadzi ich i wróci do pustego domu. Dzięki Bogu, że jest jeszcze szpital, który wypełni jej samotne dni.

W drodze na lotnisko Markowi nie zamykała się buzia, za to Bevan i Cassandra niewiele mówili.

Cassandra pomyślała, że milczenie Bevana spowodowane jest niepokojem dotyczącym przebiegu wizyty w Australii. Przyjazd chłopca na pewno wywoła silne wzruszenie państwa Marslandów. Radość z poznania wnuka będzie zmieszana z bólem wspo-

mnień o Darrenie, a może i z gniewem na Cassandrę, która przez tyle lat nie poinformowała ich o istnieniu Marka.

Na lotnisku cały czas czuła na sobie wzrok Bevana. Gdy pasażerów poproszono o wejście na pokład samolotu, mocno przytuliła Marka, a gdy go puściła, Bevan zbliżył się i musnął jej policzek wargami. Ledwo się opanowała, by nie pocałować go znacznie serdeczniej. Ale to już minęło... Czas namiętności już się skończył... Niedwuznacznie dała mu to do zrozumienia, ale problem polegał na tym, że ilekroć go widziała, pragnienia wracały z nową siłą i zdawało się, że zawsze będzie tak samo.

Gdy samolot wzbił się w niebo, a ona została sama, rozpląkała się wreszcie. Płakała nad swoją miłością do tego twardego mężczyzny, nad głupią śmiercią jego brata i nad małym, bezpiecznym światem, który budowała przez tyle lat dla Marka i siebie i który rozpadł się tak nagle i niespodziewanie.

W Springfield trwały przygotowania do inspekcji. Wyprano firanki i zasłony okienne, umyto szafki, zawsze czysta pralnia została doprowadzona do stanu niemal sterylnej, a podłogi wyfroterowano tak, że można się w nich było przeglądać. W ogrodzie nie było ani jednego chwastu i nawet pojemniki na śmieci za szpitalem stały w idealnie równym szeregu.

W szpitalu leżeli jak zwykle pacjenci po operacjach ortopedycznych oraz cierpiący na schorzenia geriatryczne i astmę, a także ci, których stan zdrowia wymagał hospitalizacji, ale nie był na tyle poważny, by ich skierować do kliniki. Pacjenci czuli się na ogół na tyle dobrze, że rozumieli przyczyny dodatkowej krzątania personelu i trzymali kciuki, by ten szpital, tak ceniony przez miejscową społeczność, nie został im zabrany.

Joan musiała wreszcie zająć się wypełnieniem kwestionariu-

sza. Był to gruby plik kartek, zawierających pytania dotyczące absolutnie wszystkiego - od spraw najistotniejszych do najbardziej błahych, a każdą odpowiedź należało poprzeć danymi liczbowymi.

Atmosfera w szpitalu była napięta. Wszyscy pracownicy zdawali sobie sprawę z powagi sytuacji. Wiedzieli, jak bardzo okolicznym mieszkańcom zależy na korzystaniu ze szpitala i że gdyby decyzja należała do pacjentów, otrzymałby ocenę celującą. Ale to nie chorzy mieli ocenić szpital, tylko komisja z wydziału zdrowia. Jeśli ocena będzie negatywna, szpital zostanie zamknięty, co będzie katastrofą dla mieszkańców tych stron i dla personelu szpitalnego.

W pracy Cassandra nie miała czasu rozmyślać o Bevanie i Marku, ale wieczorami, gdy była już w domu, myśli te wracały do niej ze zdwojoną siłą: że Mark jest teraz daleko, z nową rodziną, że chłód Bevana w stosunku do niej nigdy nie zmalął, jeśli nie liczyć tych szalonych chwil, gdy ją obejmował. Bez Marka i Bevana czuła się samotna i smutna. Czasami żałowała, że nie przyjęła jego chłodnego zaproszenia i nie pojechała z nimi.

Gdyby nie zgłosiła się na dyżury świąteczne, ponure myśli dręczyłyby ją po całych dniach, a tak musiała z nimi walczyć tylko wieczorami. Pewnego dnia zaprosiła Johna Forrestera na kolację.

John chętnie wrócił do pracy, jednak swe obowiązki traktował z większym dystansem niż dawniej. Pomny na swą chorobę, dbał o to, by nie wrócić na szpitalne łóżko.

Gdy po posiłku zasiedli przed kominkiem z filiżankami kawy w dłoniach, Cassandra spytała:

- Co pan pomyślał, gdy Bevan tak nagle postanowił wyjechać?

- Początkowo byłem zdziwiony, ale gdy poznałem powód, życzyłem mu wszystkiego najlepszego.

Cassandra westchnęła. John popatrzył na nią ze współczuciem.

- Dobrze zrobiłaś, że powiedziałaś o tym Bevanowi i Markowi, Cassie. Wiem, ile cię to musiało kosztować, ale to jest chyba zrządzenie losu, że Bevan tu przyjechał, poznał ciebie i twojego syna. Nie mogłaś trzymać tego dłużej w tajemnicy. Kiedy mi Bevan o tym opowiedział, byłem prawie tak samo zaskoczony jak on. Nie miałem pojęcia, że znałaś Darrena. Marslandowie nie mają szczęścia. Najpierw utracili synową i wnuka, potem w tak bezsensowny sposób stracili młodszego syna. Miałem nadzieję, że Bevan znajdzie nową rodzinę w tobie i Marku.

- I pomylił się pan - powiedziała Cassandra z goryczą. - Bevan ma do mnie żal, że od razu nie powiedziałam mu prawdy. Muszę wyznać, że nie ode mnie się o wszystkim dowiedział.

- A od kogo, na miłość boską? Przecież nie ma tu nikogo, kto znałby cię z tamtych lat!

- Ja też tak myślałam, ale okazało się, że jest inaczej.

John popatrzył na nią współczująco.

- Mówisz, że ma do ciebie żal, ale kiedy ze mną rozmawiał, sprawiał wrażenie człowieka cierpiącego.

- Są różne rodzaje cierpienia. Zraniona duma czy miłość własna albo urojona krzywda... Spotkałam go tylko raz, dawno temu, i wtedy potraktował mnie dosyć brutalnie, bo myślał, że jestem tą dziewczyną, która namówiła Darrena na wejście na wieżę. Ja nigdy nie zrobiłabym czegoś takiego. Ale on wtedy uznał mnie za winną i do dzisiaj w to wierzy, więc w przyszłości będziemy się kontaktować jak **daleka rodzina**.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Bevan dotrzymał obietnicy. Mark dzwonił regularnie i poza pierwszym razem, kiedy wydawał się zmęczony i trochę zagubiony, z jego słów wynikało, że bawi się doskonale.

Pod koniec pierwszej rozmowy słuchawkę wziął Bevan i poinformował Cassandrę, że lot mieli spokojny i dotarli na miejsce bezpiecznie. To było wszystko. Nie powiedział jej, jak Mark czuje się w nowym otoczeniu, nie podał żadnych szczegółów, tylko sucho stwierdził, że wszystko jest w porządku.

Cassandrze cisnęło się na usta mnóstwo pytań, ale ich nie zadała. Mark był zbyt zmęczony, by na nie odpowiadać, a Bevan najwyraźniej nie miał ochoty przeciągać tej rozmowy.

Gdy Mark zadzwonił drugi raz, stwierdziła z zadowoleniem, że jego energia wróciła; wesoło opowiadał matce, gdzie byli i co robili. Skończywszy szczegółową relację z całego dnia, powiedział nagle:

- Babcia chciałaby z tobą porozmawiać, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Cassandrze zaschło w ustach. Chciała tego, chciała porozumieć się z matką Bevana, jednak teraz, gdy moment ten miał nastąpić, przestraszyła się. Mark jednak czekał na odpowiedź, więc po sekundzie wahania odpowiedziała:

- Oczywiście, chętnie.

- Dzień dobry, moja droga. Jestem Barbara Marsland. Chcę ci powiedzieć, że masz wspaniałego syna.

- Dziękuję, pani Marsland. Cieszę się, że pani tak uważa

- odparła Cassandra, po czym, odetchnąwszy głęboko, spytała:

- Zastanawiam się, jak pani przyjęła wiadomość o tym, że Darren zostawił syna, a ja państwa o tym nie poinformowałam?

- Zabolalo mnie to, ale muszę przyznać, że rozumiem cię. Bardzo kochałam mojego młodszego syna, ale nie do tego stopnia, żeby nie dostrzegać jego wad. Danen był samolubny, miał o sobie bardzo wysokie mniemanie. Był zupełnym przeciwieństwem Bevana. Sądzę, że bardzo źle cię potraktował, inaczej skontaktowałabyś się z nami już dawno.

- Kiedyś uważałam, że mnie skrzywdził, ale po latach doszłam do wniosku, że oboje byliśmy młodzi i głupi. Ja, bo nie panowałam nad swoimi uczuciami, a on, bo był lekkomyślny. Potem, na pogrzebie, podeszłam do Bevana, a on napadł na mnie z taką furią, że miałam dosyć pani synów. A teraz - mówiła, z trudem powstrzymując łzy - Bevan ma dość mnie i bardzo mi z tym ciężko.

- Ja nie mam do ciebie żadnych pretensji i chciałabym wierzyć, że od tej pory będziemy mogli żyć jak rodzina... - odezwała się pani Marsland. - Mój mąż, ja, Bevan i ty, Cassandro. Mamy tylko jedno życie, więc nie marnujemy go. Mam nadzieję, że Mark będzie często nas odwiedzał, i że ty będziesz mu towarzyszyć. Czy mogę na to liczyć?

Cassandrze zrobiło się lżej na duszy. Było jej miło usłyszeć, że ta kobieta, która tyle w życiu wycierpiała, nie ma do niej żalu. Jednak nie na szacunku Barbary Marsland zależało jej najbardziej. Pragnęła uczucia jej syna, a jeśli sądzić po ostatniej rozmowie z Bevanem, pragnienie to było nierealne.

W dniu inspekcji wszyscy stawili się do pracy w nieskazitelnie czystych i wyprasowanych strojach: Joan w zielonym kostiumie i kremowej bluzce, Cassandra w ciemnoniebieskiej sukience z białymi mankietami, pielęgniarki w jasnoniebieskich sukienkach z krótkimi rękawami, salowe w sukienkach w niebieską kratkę, fizjoterapeutki w białych tunikach i granatowych spodniach. Gdy dyrektorka i siostra przełożona skontrolowały swoje królestwo, uznały, że zrobiono wszystko, co mogłoby się przyczynić do przedłużenia zezwolenia na następny rok.

- Dziwnie się czuję - powiedziała Joan, gdy zakończyły ostatni obchód przed przybyciem komisji. - Tak długo się przygotowywaliśmy, a teraz, kiedy wreszcie nadszedł ten dzień, czuję się jak beznamiętny obserwator.

Cassandra kiwnęła głową. Rozumiała przyjaciółkę. Zrobili wszystko, co było w ich mocy. Obecnie mogły już tylko spokojnie czekać na decyzję.

Potem jeszcze dwa miesiące nerwowego oczekiwania na ostateczny werdykt, ale teraz ważne jest tylko to, by szpital przetrwał dzisiejszy dzień bez jakiegoś niepomyślnego zbiegu okoliczności, który w takiej sytuacji może się zdarzyć w każdej chwili.

I właśnie kiedy duża, czarna limuzyna wjeżdżała przez bramę, do biura wpadła pielęgniarka i krzyknęła:

- Zniknął pacjent z oddziału geriatrycznego!
- Jak to zniknął? - poderwała się Joan.
- Albert Bateson powiedział, że idzie do toalety. Kiedy nie wrócił po kwadransie, poszłam po niego, ale toaleta jest pusta. Szukałam go wszędzie. Nigdzie go nie ma.
- Dlaczego żadna z was z nim nie poszła? - spytała zdenerwowana Cassandra.
- Zawsze doskonale sobie radził. Był całkiem samodzielny.

- Musimy go jak najszybciej znaleźć, żeby mu się coś nie stało.
- Biegnijcie - poleciła Joan. - Postaram się utrzymać komisję z dala od oddziału geriatrycznego, dopóki nie znajdziecie Batesona.

Gorączkowe poszukiwania nie dały rezultatu. Pacjenta nie było ani w toaletach, ani w salach, ani w świetlicy, ani w ogrodzie, ani w ogóle nigdzie. Przepadł jak kamień w wodę.

- Wynika z tego, że opuścił teren szpitala - stwierdziła Cassandra z niepokojem. - Pójdziemy go szukać we dwie. Reszta z was niech normalnie pracuje. Żle by było, gdyby komisja zobaczyła, że połowa personelu biega po okolicy. My obie postaramy się zachowywać możliwie dyskretnie, a gdyby w tym czasie Bateson wrócił, dacie nam znać.

Spojrzała na puste łóżko. To niestychane, żeby chory zaginął! Jeśli komisja spyta, gdzie jest pacjent, który tu leży, trzeba będzie skłamać, że wzięto go na badania do innej części szpitala. Może się to udać, jeśli komisja nie pójdzie tam od razu.

W ogrodzie nie było nikogo. Cassandra pomyślała, że czas poszukać zbiega na szosie, ale w tym momencie usłyszała głosy dochodzące z szopy na narzędzia ogrodnicze. Gdy otworzyła drzwi, uciekinier przemawiał do Gary'ego, młodszego z dwóch portierów:

- Mam najlepszą jabłoń Bramley w całej okolicy i nie byłem przy kwitnieniu, bo jestem tutaj. Dostałem zapalenia płuc i wzięli mnie do szpitala, bo mieszkam sam.

- Panie Bateson, co pan tu robi? Myśleliśmy, że pan uciekł!
- zawołała Cassandra.

- Nie, moja droga - uśmiechnął się pacjent. - Nie odejdę stąd, dopóki mi nie pozwolicie, ale kiedy mnie wypuścicie, pobiegnę, że aż się za mną zakurzy.

- To jest bardzo ważny dzień dla szpitala. Jak długo on tu jest? - spytała Gary'ego z wyrzutem.

- Nie więcej niż dziesięć minut, siostró - zapewnił ją chłopak. - Ale przecież komisja jeszcze nie przyjechała?

- Przyjechała. Musimy jakoś sprytnie przemycić pana Batesona z powrotem do łóżka. Możesz sobie wyobrazić ich miny, gdybyśmy musieli im powiedzieć, że zaginął nam pacjent?

- Za kilka minut zaczynam pracę. Posadzę go na wózek i przywiezę, jakbym z nim wracał z rentgena.

- Nie potrzebuję wózka - oświadczył pacjent poirytowanym tonem. - Przywieźli mnie tu z powodu płuc, a nie nóg.

- Wiemy - odparła Cassandra - ale ten jeden raz proszę nam pozwolić zawieźć się na oddział.

Wieczorem w pubie panował nastrój filozoficzny. Wszyscy odczuwali ulgę, że dzień próby jest już za nimi. Teraz co będzie, to będzie. Komisja niczego nie chwaliła ani nie ganiła. Swoje spostrzeżenia przekaże wyżej, a tam zostanie podjęta decyzja co do przyszłości szpitala.

- Jeśli nie dostaniemy zezwolenia, to będzie znaczyło, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie - powiedziała Joan.

Widać było, że jest zmęczona i opuściła ją zwykła werwa. Nikt się zresztą temu nie dziwił. Po okresie intensywnych przygotowań miała przed sobą długie tygodnie oczekiwania na ich rezultat.

Cassandra też nie szczędziła sił, pomagając Joan. Teraz, gdy komisja odjechała, przyjemnie będzie wrócić do codziennych obowiązków.

Ubierając się na spotkanie w pubie, spojrzała na kalendarz i pomyślała, że za tydzień wyjaśni się, czy jej osobiste życie

zmieni się, czy nie. Może rozłąka sprawi, że Bevan zatęskni do niej, a może wręcz przeciwnie. Ale niezależnie od tego każdy dzień bez niego i bez Marka dłużył jej się w nieskończoność.

- Cześć, Cassie.

Odwróciła się i ujrzała Mike'a. Uśmiechnęła się. Zawsze go lubiła, a jego takt i życzliwość w czasie incydentu na zabawie sprawiły, że poczuła do niego jeszcze większą sympatię. Niektórym Mike mógł wydawać się skryty i małowówny, ale ona wiedziała, że ma wrażliwą osobowość. Jakże proste byłoby jej życie, gdyby zakochała się w Mike'u, a nie w tym twardym Bevanie.

- Siadaj, Mike - zaprosiła go Joan.

Mike odsunął krzesło i siadając, spytał:

- Jak wam dziś poszło?

Cassandra i Joan roześmiały się.

- Zaczęło się od tego, że uciekł nam pacjent i ledwo go znaleźliśmy i doprowadziłyśmy na oddział geriatryczny, zjawiła się tam ta święta inkwizycja. Potem już wszystko szło normalnie.

- Więc uważacie, że wszystko było dobrze?

Obie kiwnęły głowami.

- Tak. Niestety, decyzja nie należy do nas - powiedziała Cassandra.

W tym momencie otworzyły się drzwi i weszła Lucinda Beckman. W czerwonym żakiecie i obcisłych, czarnych spodniach wyglądała na tle pracowników szpitala, ubranych w codzienne stroje, jak papuga w kurniku.

- Patrzcie, kto przyszedł - powiedział Mike. - Doktor Papla we własnej osobie.

Cassandra pobladała. Nie spotkała Lucindy Beckman od chwili, gdy ta wyjawiała Bevanowi, kto jest ojcem Marka. Lucinda była w Springfield kilka razy, ale za każdym razem Cassandra

kierowała jej do pomocy którąś z pielęgniarek. Doktor Beckman stanęła w drzwiach pubu, omiotła jego wnętrze chłodnym wzrokiem, a następnie skierowała się do ich stolika. Skinąwszy głową na powitanie, zwróciła się do Cassandry:

- Jeśli można, chciałabym z tobą zamienić kilka słów.

Mike popatrzył na Cassandrę z niepokojem. Wstając, ścisnęła jego ramię uspokajającym gestem.

- O co ci chodzi? - spytała, gdy znalazły spokojny kąt.

- Chcę cię przeprosić za moje zachowanie. Przesadziłam wtedy z piciem i, jeśli dobrze pamiętam, za dużo powiedziałam.

Cassandra spojrzała na nią ze zdumieniem. Lucinda Beckman ją przeprosza?

- Powiedziałaś prawdę.

- Nie szukam współczucia, ale kiedy rok temu mój mąż umarł na atak serca, zaczęłam pić.

Cassandra nie przepadała za Lucindą, ale żal jej się zrobiło, że tak młodo owdowiała.

- Zapomnijmy o tym, Lucindo. W pewnym sensie oddałaś mi nawet przysługę. Chciałam sama o tym powiedzieć Bevanowi i nie mogłam się zdecydować, a ty zrobiłaś to za mnie.

Jej słowa zabrzmiały wielkodusznie, ale Lucinda rzeczywiście zrobiła jej przysługę: pozwoliła jej się przekonać, jaki Bevan jest naprawdę.

- Kilka dni później spotkaliśmy się znowu i uspokoił mnie, że nic was nie łączy.

Cassandrze zrobiło się przykro. Usłyszała to, co sama sobie powtarzała setki razy, ale zabolęło ją, że Bevan mówi takie rzeczy.

Lucinda rozejrzała się.

- A gdzie on jest? Myślałam, że tu będzie.

- Zabrał mojego syna do Australii, żeby poznał dziadków.
- Poważnie? Już rości sobie do niego prawa? Nie traci czasu!
- To prawda - przyznała Cassandra ze smutkiem.

Kiedy Bevan zawiózł ich na lotnisko, ustalili, że Cassandra odprowadzi jego samochód pod przychodnię, a po trzech tygodniach przyjedzie nim na lotnisko.

Nadszedł dzień powrotu Marka i Bevana. Po przesiadce w Singapurze, połączonej z kilkugodzinną przerwą w podróży, mieli przylecieć późnym popołudniem. Do lotniska była ponad godzina jazdy. Cassandra przygotowywała sobie lunch i nie mogła otrząsnąć się z koszmarnych myśli, które dręczyły ją w nocy.

Były to zepchnięte w podświadomość lęki, które wypłynęły na powierzchnię w bezsenną noc przed powrotem Marka: może wcale nie przylecą? Może Marslandowie zatrzymali Marka w Brisbane, bo uznali, że wystarczająco długo miała go przy sobie, a teraz ich kolej?

Nagle zawstydziła się swej podejrzliwości. Fakt, że nie może z Bevanem dość do ładu, nie oznacza, że zawiódłby jej zaufanie.

Tablica w hali przylotów informowała, że lot z Singapuru nie ma opóźnienia. Cassandra czekała z rosnącą niecierpliwością. Wreszcie pasażerowie zaczęli jeden po drugim wychodzić po odprawie celnej, ale nie widać było ani Marka, ani Bevana.

Czas mijał. Cassandrze ze zdenerwowania zaschło w ustach. Gdzie oni są? Czy nie wsiedli do samolotu w Singapurze? A może wciąż są w Brisbane? Czy jej okropne przecucie się sprawdziło?

Nogi ugięły się pod nią i usiadła na najbliższym fotelu. Mi-nęło już pół godziny od chwili, gdy ostatni pasażer z tego samo-

lotu przeszedł przez odprawę celną. Powinna sprawdzić, czy Mark i Bevan są na liście pasażerów, ale bała się o to spytać. Zamknęła oczy.

- Cassie! - usłyszała nagle głos Bevana i podniosła głowę.
- Co ci jest, mammo? - spytał Mark, widząc jej pobladłą twarz.
- Źle się czujesz?

Pokręciła głową z uśmiechem.

- Przed chwilą źle się czułam, ale teraz już wszystko w porządku.

Objęła syna i napotkała wzrok Bevana. Oprócz jej imienia, wypowiedzianego zaniepokojonym tonem, nie rzekł ani słowa. Był zmęczony, trochę schudł, ale radość z ich przyjazdu nie pozwoliła jej zastanowić się nad tym. Puściła Marka, objęła Bevana i pocałowała go delikatnie.

- A to z jakiego powodu? - spytał lekko ironicznym tonem.
- Ucieszyłaś się na mój widok? A może dlatego, że nie spełniły się twoje najgorsze obawy? Myślałaś, że z nim ucieknę, prawda?

Twarz Cassandry stała się purpurowa. Ten człowiek czyta w jej myślach!

Nieświadom ich skrywanych uczuć, Mark zaczął mówić:

- Mammo, nigdy nie zgadniesz, dlaczego wyszliśmy tak późno. Leciał z nami jeden chory pasażer i stewardesa spytała, czy na pokładzie jest lekarz. Bevan przesiedział przy nim całą drogę, a kiedy wylądowaliśmy, czekał na karetkę, bo chciał porozmawiać z pielęgniarką.

- Co mu było? - spytała Bevana.
- Wysoka gorączka, dreszcze, biegunka. Prawdopodobnie zaraził się jakąś tropikalną chorobą. Zasugerowałem, żeby go zawieźli do szpitala chorób zakaźnych. Gdzie zaparkowałaś? Chodźmy. Dość już nasiedzieliśmy się na lotniskach.

- Jesteś zmęczony. Może ja poprowadzę?
- To dlatego, że Bevan źle sypia - wtrącił Mark. - Babcia powiedziała mu, żeby przestał się dręczyć i uporządkował swoje życie.

- Dręczyć się? Czym?

- Nic mi nie jest. Moja matka nie widziała mnie przez jakiś czas, więc teraz byłem obiektem wzmożonej troski macierzyńskiej.

- Dzwoniła do mnie - poinformowała go Cassandra.

- Wiem - odparł obojętnie. - Może kiedyś wpadniesz tam poznać ją osobiście?

- Może wpadnę - odparła, myśląc równocześnie z goryczą, że jest to mało prawdopodobne przy takim braku entuzjazmu z jego strony.

W samochodzie usiadła z tyłu, obok Marka, który niezwłocznie zaczął opowiadać jej o Brisbane: jakie tam są wielkie domy, i że one są drewniane, a dom dziadków ma trzy łazienki i po ogrodzie biegają jaszczurki wielkie jak psy.

- Są tam ogromne pająki, naprawdę okropne - mówił z przejęciem - ale niebezpieczne są te małe.

- Tak jest zawsze, nieprawdaż? - wtrącił Bevan.

- Wszystkie małe pająki są takie same - odgryzła się Cassandra - ale ludzie są różni i niekoniecznie duży mężczyzna jest automatycznie dobry, a mała kobieta jest zła.

Bevan roześmiał się cierpko, ale Mark spojrział na nią z zaskoczeniem:

- Czy na pewno dobrze się czujesz, mamo?

- Nie, nie czuję się dobrze. Ale spytaj mnie o to za trzy miesiące, to może dam ci zupełnie inną odpowiedź - oświadczyła, uprawiając go w jeszcze głębsze zdumienie.

Gdy Bevan dotarł do domu Cassandry, odwrócił się i spojrzął na nich.

- Wędrowiec wrócił do domu. A ty nie wierzyłaś, że tak będzie, prawda? Przez cały czas się tego bałaś?

- Nie. Dopiero ostatniej nocy pomyślałam, że mógłbyś... dość do wniosku, że już wystarczająco długo miałam go tylko dla siebie.

- Doszedłem do takiego wniosku, ale to jest niezupełnie tak, jak myślałaś.

- Możesz mówić jaśniej?

- Wyjaśnię ci to innym razem, kiedy odpocznę po tej podróży, a ty pozbedziesz się niesłusznych podejrzeń... I kiedy będziemy sami.

- Dobrze, jak sobie życzysz. Nie zjadłbyś z nami kolacji?

- Oo! Zostałem zaproszony do warowni pani Bryant! Czym zasłużyłem sobie na ten zaszczyt?

- Niczym. Zapraszam cię, ponieważ nie masz w domu nic do jedzenia.

- W takim razie przyjmuję zaproszenie.

Mark pobiegł do swego pokoju, żeby przywitać się ze swoimi zabawkami. Zostawszy sam na sam z Bevanem, Cassandra spytała:

- Więc odwiedziny u rodziców przebiegły bez niespodzianek?

- Oczywiście. Twój syn bardzo im się spodobał.

- Czy jego przyjazd spowodował nawrót żalu z powodu śmierci Darrena?

- To było nieuniknione. Ale z drugiej strony ucieszyli się, że życie mojego brata nie zostało całkiem zmarnowane.

- To dobrze. Poza tym miło mi, że przynajmniej oni nie czują do mnie aż takiej urazy.

- Aż takiej jak ja?

- Jeśli chcesz tak to rozumieć...

- A jak jeszcze można to rozumieć? - spytał posepnie. - Tylko że oni nie mieszkali tu przez tyle tygodni, nie spotykali cię co krok w szpitalu, w miasteczku, w szkole, więc nie zdają sobie sprawy, jaki szok wywołała we mnie ta wiadomość. Ponadto ja powiedziałem im o Marku znacznie delikatniej. Nie usłyszeli tego w przypadkowej rozmowie.

Pomyślała, że ich zawieszenie broni ma bardzo kruche podstawy. Lada minuta zostanie zerwane, a ona tego nie chce, przynajmniej nie dzisiaj.

Bevan, jakby czytając w jej myślach, dodał łagodniej:

- Ale już ci to kiedyś powiedziałem. Nie mówiłem tylko, że zwykle nie reaguję tak ostro, ale w tej sytuacji chyba można mi to wybaczyć.

- Dobrze - zgodziła się. - A może dzisiaj i mnie będzie można przebaczyć?

Podszedł do niej i dotknął jej włosów.

- Chcesz, żebyśmy zapomnieli o tym, co nas dzieli? Czemu nie? W końcu nie widzieliśmy się przez trzy tygodnie i chyba powinniśmy jakoś uczcić ponowne spotkanie.

Spojrzała mu w oczy i zobaczyła w nich pożądanie. Serce zabiło jej jak oszalałe. Przytuliła się do Bevana, a on ją objął i poszukał wargami jej ust. W tym momencie na schodach rozległy się kroki Marka.

Z westchnieniem odstepili od siebie i zasiedli do stołu. Cassandra, po emocjach dnia, ledwo przełknęła kilka kęsów, za to Mark i Bevan jedli z apetytem. Patrząc na nich, pomyślała, jak wspaniale byłoby ich obu mieć w domu na stałe.

- Jak John sobie radził podczas mojej nieobecności? - spytał Bevan.

- Bardzo dobrze, chociaż chętnie znowu przekaże ci praktykę. Przyszedł do mnie kiedyś na kolację, a ja kilka razy odwiedziłam go w przychodni.

- A jak wypadł sądny dzień w szpitalu?

- Masz na myśli inspekcję? Chyba dobrze, ale wyniki poznamy dopiero za kilka tygodni.

- A spotkanie w pubie?

- Było dość miło, i spotkała mnie tam duża niespodzianka.

- Ze strony twojego niezastąpionego doktora Drew?

- Nie. Ze strony twojej przyjaciółki, głosicielki dobrych nowin, Lucindy Beckman - odcięła się.

- Beckman? Czym jeszcze mogła cię zaskoczyć? Czy nie wystarczył ci ten jeden raz?

- Przeprasiła mnie za to. I chyba przeproszała szczerze.

- No, no! Ale, prawdę mówiąc, powinienem jej być za to wdzięczny.

Powiedziawszy to, spojrział najpierw na Cassandrę, a potem na Marka. Co miał na myśli?

Wspomnienie Lucindy zepsuło trochę nastrój i wkrótce Bevan pożegnał się, wyjaśniając, że musi zadzwonić do matki.

Odprowadzili go do samochodu. Gdy odjechał, Cassandra powiedziała do Marka:

- Jutro, kiedy nie będziesz już tak zmęczony, musisz mi opowiedzieć o twoich dziadkach i o tym, jak ci było z Bevanem.

- Nie musimy czekać do jutra. Trochę się bałem, bo nigdy wcześniej dziadków nie widziałem, ale byli dla mnie bardzo mili i zaraz poczułem się tam jak w domu.

- A Bevan?

- Bardzo się o mnie troszczył. Czy mój ojciec był do niego podobny?

- Nie. Był całkiem inny. Był postrzelony, lubił się popisywać, ale chyba nie był zły. Musisz pamiętać, że oboje byliśmy wtedy bardzo młodzi.

- Co będzie, kiedy Bevanowi skończy się zastępstwo? - spytał chłopiec poważnie. - Czy już się nigdy nie zobaczymy?

- Nie wiem, czy będzie się widywał ze mną, ale mogę się założyć o wszystko, że z tobą nie zerwie kontaktów.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mijały tygodnie. Wiosenne pąki rozwinęły się w letnie kwiaty, życie w domu Cassandry wróciło do normy, szpital czekał na decyzję o swym losie.

Bevan był w Springfield już ponad trzy miesiące i Cassandra powoli traciła nadzieję, że ich znajomość zdąży przed jego wyjazdem przekształcić się w głębsze uczucie.

Powiedziała Markowi prawdę. Bevan nie zniknie z jego życia: może do Marka telefonować z odległych miejsc albo zapraszać go do Australii. Cassandra, mimo zaproszenia pani Marsland, nie będzie mogła tam pojechać, wiedząc, że nie jest mile widziana przez jej syna.

Sezon rugby się skończył, więc Bevan nie był już w szkole, ale czasem przychodził do nich do domu, by zabrać Marka do kina lub na kręgle i zawsze pytał, czy Cassandra nie poszłaby z nimi. Ona jednak nieodmiennie odmawiała, bo wołała czuć się ignorowaną niż ledwo tolerowaną.

Kiedy Bevan przychodził do szpitala, nieraz spotykał się z Cassandra i wówczas było prawie tak, jakby nic ich nie dzieliło, bo oboje najwyższej cenili sobie dobro chorych.

Pewnego razu, gdy właśnie był w szpitalu, przywieziono nieprzytomną sześciolletnią dziewczynkę, którą potrącił samochód. Na szczęście samochód nie jechał zbyt szybko i gdy Bevan zjawił się na oddziale, dziewczynka zaczęła odzyskiwać przyto-

mność. Na prawej skroni miała głębokie rozcięcie, a prześwietlenie wykazało pęknięcie kości potylicznej.

- Siostró, ona musi być pod stałą obserwacją - powiedział Bevan do Cassandry. - Na razie nie ma powodu przewozić jej do kliniki, ale przy tego typu obrażeniach może wystąpić krwawienie wewnętrzzaskowe. W razie pogorszenia stanu dziecka proszę mnie niezwłocznie poinformować.

- Tak jest, doktorze Marsland - odparła Cassandra równie oficjalnym tonem. - Dopilnuję, żeby polecenie zostało dokładnie wykonane.

- Jestem tego pewien - uśmiechnął się sarkastycznie. - Jedno o tobie można powiedzieć, Cassandro: że niczego nie robisz połowicznie.

- Gdybym to usłyszała od kogoś innego, uznałabym to za komplement. Ale od ciebie...

Gdy Cassandra wyszła z pokoju, w którym leżała mała pacjentka, Bevan rozmawiał na korytarzu z Joan.

- Dziecko szło do szkoły - poinformowała Joan Cassandrę. - Bawiło się piłką i wbiegło za nią na jezdnię.

- Jest za mała, żeby sama chodzić do szkoły - stwierdziła Cassandra.

- Problem w tym - oświadczył Bevan - że wiele matek musi w dzisiejszych czasach pracować, żeby nakarmić i ubrać dzieci. Powinny jednak zadbać o ich bezpieczeństwo, tak jak niewątpliwie ty o nie zadbałaś, Cassandro.

Spojrzała na niego ostro. Czy to jest zaczepka? Zanim zdążyła się odezwać, Joan oznajmiła:

- Kiedy Mark był mały, Cassie zatroszczyła się o wszystko. Nie miała własnego życia. Liczył się tylko on. To były trudne lata, prawda, Cassie?

O co jej chodzi? - dociekała zaskoczona Cassandra. Czy chce, żeby Bevan mnie pochwalił? Albo żeby zdał sobie sprawę, że moje życie nie było usłane różami? Jeśli ma choć trochę wyobraźni, musi to wiedzieć. Ale on bez wątpienia uważa, że sama na siebie sprowadziłam kłopoty.

Bevan bez słowa wysłuchał wygłoszonej przez Joan pochwały na cześć Cassandry, po czym wziął torbę i powiedział:

- Nie mam powodu w to wątpić. Ale nie mogę jakoś zapomnieć o tym, że nie uznała mnie za godnego poinformowania o moim pokrewieństwie z Markiem.

Ukłoniwszy się sztywno, odszedł, zostawiając Joan i pobladłą Cassandrę.

W ciągu dnia stan małej pacjentki zdawał się poprawiać, jednak po południu znowu zaczęła tracić świadomość, przy czym jej serce biło coraz wolniej, a ciśnienie rosło. Cassandra zadzwoniła do Bevana na krótko przed jego dyżurem w przychodni.

Przyjechał natychmiast i zaaplikował dziewczynce zastrzyk mannitolu, po czym stwierdził:

- Niezbędna jest tomografia mózgu. Załatw transport, a ja porozmawiam z ojcem. Matka musiała wrócić do domu, ale on jest tu cały czas i nerwowo chodzi po korytarzu. Powinien się dowiedzieć, że stan córki jest poważniejszy niż się wydawało i trzeba ją zabrać do kliniki.

- Załatwię karetkę i przygotuję dziecko do przewiezienia - odparła Cassandra spokojnie, po czym dodała ze sztucznym uśmiechem: - Czasami potrafię wszystko zrobić jak należy.

Wiedziała, że niepotrzebnie go zaczepia, ale nie mogła się powstrzymać. Już szedł ku drzwiom, lecz gdy usłyszał te słowa, stanął i powiedział z typowym dla niego ponurym uśmiechem:

- Wiem, że prawie wszystko robisz jak należy, ale gdybyś wszystko robiła dobrze, wiedziałbym znacznie wcześniej, że mój brat miał z tobą syna.

- Nigdy mi tego nie wybaczysz, co? Niejeden byłby wdzięczny, gdyby zobaczył, jak wychowałam Marka, ale nie ty! Nie znam bardziej samolubnego faceta! Skąd wiesz, jak ja się czułam, kiedy tu przyjechałeś?

- Nie wiem i nie chcę wiedzieć - odparł wrogim tonem i wyszedł.

Ranna dziewczynka, której towarzyszył ojciec i Bevan, została ostrożnie przeniesiona do karetki. Cassandra patrzyła na oddalający się samochód i zastanawiała się, jak by się czuła, gdyby taki wypadek przydarzył się Markowi... albo Bevanowi - dwóm osobom, które kochała.

Przy kolacji Mark jak zwykle zapytał:

- Widziałas się dzisiaj z Bevanem?

Nieodmiennie odpowiadała tylko „tak” lub „nie”, ale chłopiec zawsze wypytywał ją o wszystkie szczegóły spotkania: co Bevan zrobił, co powiedział.

Dzisiaj dała mu zwykłą, monosylabową odpowiedź. Po chwili milczenia spytał:

- Nie lubisz go tak bardzo jak ja, prawda?

- Dlaczego tak uważasz?

- To przecież widać. Ale on cię lubi. Kiedy jesteśmy razem, ciągle mnie pyta o ciebie: „Co twoja mama robi dziś wieczorem?” Albo: „Czy twoja mama przyjaźni się z jakimiś mężczyznami?”

- Takie pytania wcale nie dowodzą, że mnie lubi.

Po chwili milczenia Mark stwierdził:

- Wiesz, co byłoby naprawdę fajne?
- Co?
- Gdyby się Bevan z tobą ożenił.

Cassandra poczuła w oczach Łzy. On naprawdę tego chciał. Chciał mieć ojca, którego sam sobie wybrał. I ona by tego chciała. .. ale nie Bevan.

- Niestety, musisz zrezygnować z tego pomysłu - odparła lekkim tonem, jakby jej to nigdy nie przemknęło przez myśl.
- Jedyne, co nas łączy, to sprawy zawodowe.

Wieczorem Bevan zadzwonił z wiadomością, że sześćioletnią pacjentkę poddano badaniu tomograficznemu i stwierdzono obrzęk mózgu, ale nie dostrzeżono krwawienia.

- Zatrzymają ją na oddziale pediatrycznym, gdyby trzeba było wykonać dodatkowe badania albo poddać ją bardziej skomplikowanym zabiegom.

- Gdzie jesteś? - spytała Cassandra.
- W klinice, ale zaraz jadę do domu.
- Jadłeś coś?

Przez chwilę milczał, zaskoczony, po czym odpowiedział:

- Nie, ale wpadnę do baru, a potem chcę się wcześniej położyć spać.

- Czy już lepiej sypiasz? - spytała i od razu pożałowała tego pytania. Zaraz jej powie coś w stylu: „co cię to obchodzi”. Ale ku jej zaskoczeniu znowu zamilkł na chwilę, po czym odparł:

- Nie, ale staram się uporządkować sobie życie. Kiedy tego dokonam, na pewno będę spał lepiej.

- To znaczy, że robisz plany na przyszłość, kiedy stąd wyjedziesz?

- Robię plany... Tak.

W pierwszym odruchu chciała spytać, jakie są te plany, ale pomyślała, że i tak pozna je w swoim czasie. Pożegnali się zdawkowo i skończyli rozmowę.

Chodząc co rano do pracy, Cassandra stwierdziła, że jest to najbardziej deszczowe lato w jej życiu. Padało niemal bez przerwy, a krótkie chwile, w których słońce wyzierało zza chmur, nie były w stanie osuszyć nasiąkniętej deszczem ziemi.

Płynąca obok drogi rzeka wzbierała coraz bardziej. Patrząc w jej mętny nurt, Cassandra pocieszała się, że rzadko dochodziło do tego, by woda zalała asfalt.

Szpital i miasteczko leżały na wzniesieniu i nie groziła im powódź, ale kierowcy musieli się mieć na baczności.

Pewnego popołudnia, gdy Joan i Cassandra poszły sprawdzić stan wody, okazało się, że rzeka zalała już położony nad brzegiem deptak i lada chwila zaleje szosę. Wycofały się pospiesznie i Joan powiedziała:

- Trzeba zadzwonić do zarządu rzek. Pewnie nie wiedzą, że rzeka tu wylała, a powinni zatrzymać ruch, żeby jakiś samochód nie ugrzązł w wodzie.

W tym momencie usłyszały wołanie z drugiego brzegu i zobaczyły dwóch ludzi z zarządu rzek, którzy gestami nakazywali im przejść na wyżej położone miejsce.

- Więc już wiesz, co tu się dzieje - westchnęła Joan z ulgą.
- Sytuacja jest poważna. Tak źle jeszcze nigdy nie było. Jeśli jeszcze trochę popada, dojazd do szpitala zostanie odcięty.

- Niedobrze. Co będzie, jeśli zdarzy się jakiś nagły wypadek? Karetka nie będzie mogła do nas dojechać. A jeśli skończą się nam zapasy? Dojazd jest możliwy tylko tą drogą. Od tyłu byłoby to bardzo trudne.

- O to będziemy się martwić później, jeśli nie przestanie padać.

Niestety, kilka godzin później rzeka całkiem zalała drogę i podeszła pod bramę szpitala. Podjazd pod budynek prowadził pod górę i poziom rzeki musiałby się sporo podnieść, by zagrozić samemu szpitalowi, ale władze nie chciały ryzykować.

Cassandra weszła do biura w chwili, gdy przyjaciółka z posępnym wyrazem twarzy odkładała słuchawkę.

- Zarząd zdecydował, że musimy się ewakuować. Jadą do nas. Powiadomiłam okręgowy wydział zdrowia. Przyślą nam ludzi do pomocy i wszystkie wolne karetki.

Cassandra zbladła. To okropne. Przeprowadzka zaszkodzi wielu pacjentom. Na dodatek akurat w szpitalu nie ma żadnego lekarza.

- Ile mamy czasu? Oni rzeczywiście uważają, że grozi nam powódź?

- Nie chcą ryzykować. Nie sądzą, żeby niebezpieczeństwo groziło nam już teraz, ale nie wykluczają nadejścia fali powodziowej z wyższych obszarów. Powiadom ludzi.

Więść o ewakuacji nie wywołała wśród pracowników paniki, tylko zdziwienie, że szpital jest mniej odporny na przeciwności losu, niż myśleli. Zanim od tyłu szpitala zaczęły podjeżdżać kołyszące się na nierównościach terenu karetki, większość pacjentów wyprowadzono już z budynku.

Spojrząwszy na rzekę, Cassandra z zaskoczeniem stwierdziła, że woda zalała najniżej położony klomb w ogrodzie.

Pierwsza grupa karettek odjechała, robiąc miejsce następnej.

- To istny koszmar! - powiedziała załamana Joan.

Jedna z młodszych sióstr podbiegła pomóc pani Ellis, starszej

osobie, trzymającej się jedną ręką futryny, a w drugiej ściskającej dużą sznurkową torbę.

- Chodźmy, babciu - powiedział do niej młody pielęgniarz, wysiadając z karetki. - Proszę dać siostrze torbę do potrzymania i wsiadamy.

Pani Ellis kiwnęła głową i zwróciła się do Cassandra:

- Zajmij się moją torbą, młoda osobo - poleciła. - Mam tam wszystko, co dla mnie najcenniejsze: biżuterię, prawo własności domu i fotografie rodzinne.

Powiedziawszy to, powoli wsiadła do ambulansu. Gdy pielęgniarz pomagał jej usadowić się w fotelu, policjant, który nie słyszał tej wymiany zdań, zatrzasnął drzwi pełnego pacjentów pojazdu i ten ruszył. Cassandra została ze skarbami pani Ellis. Gdy ruszyła przed siebie, chcąc zatrzymać ambulans, nadbiegła salowa:

- Mamy problem, siostrzo - krzyknęła zdyszonym głosem.

Karetką zniknęła za róg szpitala, a Cassandra, ściskając pod pachą torbę, pobiegła za salową.

Jeden z pacjentów wskutek zdenerwowania spowodowanego zamieszaniem dostał ataku astmy. Był siny i z trudem chwycił powietrze.

- Czy mamy dość czasu, żeby z nim wrócić do szpitala? - spytała Cassandra pielęgniarza.

- Nie. Za późno. To ostatnia karetka. Pomóżcie mi go wnieść do środka. Dam mu inhalator. W tej sytuacji będzie to lepsze niż zastrzyk aminofiliny.

- Jedź z nim - poleciła Cassandra dziewczynie - i nie odstępuj go na krok, dopóki się nim nie zajmą.

Podbiegła do nich Joan.

- Zostanę i pozamykam wszystko - powiedziała. - Jedź i dopilnuj tam wszystkiego.

- Nie, to ty jedź, a ja pozamykam i potem pojedę moim fiatem. Lepiej żebyś osobiście była przy ich przyjmowaniu do kliniki, czy gdzie im tam znajdą miejsce.

- Tak sądzisz? - spytała Joan z powątpiewaniem.

- Tak. Biegnij już. Zaraz do ciebie dołączę.

Pracownicy zarządu rzek odjechali, gdy tylko zobaczyli, że ostatni pacjent został ewakuowany, bo właśnie dostali wiadomość, że powódź zagraża pobliskiemu kościołowi, pełnemu średniowiecznych dzieł sztuki.

Fiat Cassandry stał na parkingu za szpitalem. Był to szczęśliwy zbieg okoliczności, bo zwykle chodziła do pracy piechotą, ale dziś miała już dość deszczu i postanowiła dotrzeć do pracy suchą nogą. Parking położony był na tyle wysoko, że nie musiała bać się o auto. Pozamykała więc wszystkie szafki z lekarstwami, wyłączyła urządzenia elektryczne i ruszyła do wyjścia.

Poziom wody wciąż się podnosił i chociaż Cassandra uważała, że szpital nie zostanie zalany, czuła się nieswojo. Wokół panowała kompletna cisza, słychać było tylko szum deszczu za oknami i huk wezbranej rzeki. Sięgnęła do torebki po kluczyki od auta i zamarła: gdzie jest torba pani Ellis? Przypomniała sobie, że położyła ją na trawniku koło noszy z pacjentem chorym na astmę, ale co się z nią dalej stało? Nie wiedziała. Wybiegła przed budynek i z przerażeniem zobaczyła torbę, kołyszącą się na wodzie kilkanaście metrów dalej.

Zrzuciwszy buty, ruszyła po zgubę. Teren się tu obniżał i po chwili woda sięgnęła jej do pasa. Kiedy chwyciła torbę i chciała się cofnąć, zwała się na nią ściana wody. Zapewne jakaś przeszkoda w górze rzeki poddała się naporowi powodzi i na niższe tereny runęła wysoka fala. Cassandra nieźle pływała, lecz to uderzenie było silne. Woda zbiła ją z nóg i porwała z sobą. Jakiś

kawał drewna uderzył ją w twarz i poczuła w ustach smak krwi. Nogi zaplątały jej się w niesione nurtem wody krzewy.

Niespodziewanie prąd poniósł ją ku zwisającej nad rzeką gałęzi. Chwyciła się jej desperacko i zdołała wydostać na błotnisty brzeg. Zbyt wyczerpana, by się zdobyć na dalszy wysiłek, leżała i patrzyła na rzekę niosącą krzewy, drzewa i potopione owce. Wiedziała, że choć uniknęła śmierci, nie znaczy to, że jest już bezpieczna.

Bolała ją ręka i gdy na nią spojrzała, zobaczyła, że dłoń ma przekrzywioną pod dziwnym kątem. Nogę miała rozciętą prawie do kości i gdy spróbowała nią poruszyć, przeszył ją ból. W zdrowej ręce ścisnęła torbę pani Ellis. Miała nadzieję, że rzeczy, dla których ryzykowała życie, były opakowane w plastik. A nawet jeśli nie, to się je wysuszy, pomyślała i zemdląła.

Gdy odzyskała świadomość, poczuła okropny chłód. Uniosła się na łokciu i pomyślała, że ma halucynacje: wzburzonym nurtem rzeki płynął na wiosłowej łodzi Bevan.

Gdy się zbliżył, ujrzała jego bladą twarz i zapadnięte oczy, przeszukujące wodę i brzegi. Uniosła zdrową rękę i słabo pomachała torbą pani Ellis.

Dostrzegł ją i skręcił w stronę brzegu. Dobiwszy do niego, wyciągnął łódź na suchy ląd i podbiegł ku Cassandrze. Ze zdumieniem ujrzała w jego oczach łzy.

- O Boże, Cassie, mogłaś zginąć! - zawołał, widząc jej rękę, krew na twarzy i ranę na nodze.

Ukląkł, zdjął kurtkę i otuliwszy nią Cassandrę, zaczął badać jej obrażenia. Był już całkowicie opanowany. Łzy zniknęły i Cassandra pomyślała, że było to jedynie przywidzenie. W jego oczach widziała nie łzy, lecz krople deszczu.

- Złamany nadgarstek, głęboka rana stopy, skaleczenia i stłu-

czenia na twarzy. Tyle stwierdziłem na razie! - Bevan usiłował przekrzyczeć huk rwącej rzeki. - Muszę cię jakoś dowieźć w bezpieczne miejsce.

Cassandra dotychczas nie odezwała się ani słowem. Była jeszcze w szoku po koszmarze walki z rwącym prądem, a zjawienie się Bevana, który dla niej ryzykował życie, dopełniło miary. Straciła poczucie rzeczywistości i nie była pewna, czy nie umarła i czy to, co widzi, nie przytrafiło się komuś innemu.

Patrzyła na niego bez słowa, szcękając z zimna zębami, czując lodowaty chłód w całym ciele. A jednak serce rozgrzewała jej świadomość, że gdy zabrakło policji, pogotowia, straży pożarnej i wszystkich innych ludzi, to właśnie on, jeden jedyny, zjawił się, by ją uratować.

- Jeśli mój telefon komórkowy działa, sprowadzę pomoc
- powiedział Bevan, patrząc z troską na jej półprzytomną twarz.
- Nie mogę cię przewieźć tą łodzią. Ledwo sam utrzymałem się na powierzchni i nie chcę ryzykować. - Rozejrzał się. - Tutaj powinniśmy być bezpieczni, dopóki nas nie zabiorą.

Cassandra jak przez mgłę słyszała fragmenty rozmowy:

- Tak. Najszybciej, jak się da. Między innymi hipotermia.

Kiedy czekali na policję rzeczną, Bevan objął Cassandrę i przytulił, by ją ogrzać.

I znowu udało mu się wykorzystać sytuację i znaleźć się w jego ramionach, pomyślała, przytulając się do niego. Ale ile mnie to kosztowało! Jednak po chwili ogamęło ją przerażenie.

- Co z Markiem? - spytała.

- Jest bezpieczny. Sprawdziłem to przede wszystkim, bo wiedziałem, że będziesz się o niego martwić. Potem ruszyłem szukać ciebie. Byłem przekonany, że będziesz nadzorowała ewakuację. Kiedy nie znalazłem cię w klinice, pojechałem do szpitala.

Tam cię też nie było, więc gdy znalazłem łódź wiosłową, jedyną łódź nie zmytą przez powódź ani nie zajęta dla akcji ratowniczej, popłynąłem w dół rzeki. Będę musiał powiedzieć kilka słów tym wszystkim służbom ratowniczym, że odjechali nie sprawdzając, czy ktoś nie został w szpitalu.

- To nie ich wina - zaprotestowała słabym głosem. - Musieli jechać do kościoła ratować zabytki.

- Ty jesteś o wiele ważniejsza niż zabytki - powiedział z oburzeniem i gdy znaczenie tych słów dotarło do Cassandry, uznała, że chyba naprawdę ma halucynacje.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Leży w klinice. Jest pacjentką! Dziwne uczucie. A jeszcze dziwniejsze jest to, że przyjęto ją na zlecenie lekarza, który - ku jej zdziwieniu i radości - odwiedza ją dwa razy dziennie.

Joan też często u niej bywała i wciąż nie mogła przeboleć tego, że zostawiła ją samą po ewakuacji pacjentów.

- To był głupi wypadek - tłumaczyła jej Cassandra. - Nie mogłaś przewidzieć, że wejdę do wody, a poza tym wszystko i tak skończyłoby się dobrze, gdyby nie puściła tama w górze rzeki.

- Nie masz racji. Nie powinnam cię była zostawiać samej. Bevan nie jest ze mnie zadowolony.

- Nie martw się tym - uśmiechnęła się Cassandra. - On teraz nie jest z nikogo zadowolony. Może tylko z siebie, bo to on mnie znalazł.

Joan roześmiała się.

- Pani Ellis na pewno nie zyskałaby jego sympatii, gdyby usłyszał jej komentarz na widok odzyskanej torby. Wiesz, co ta kobieta powiedziała?! „Ależ ona jest kompletnie przemoczona! A kazałam tej blondynce jej pilnować!”

Ku uldze wszystkich deszcz przestał padać i powódź cofnęła się, nie dosięgnąwszy progu szpitala. Rzeka wróciła do swego łożyska, a letnie słońce zaczęło powoli osuszać ziemię.

Cassandra przez pierwsze kilka dni pobytu w klinice czuła się bardzo źle. Dużo spała, nie myślała o niczym. Teraz jej stan się poprawił, nadgarstek nie bolał tak bardzo i rany na nodze goiły się, ale jej twarz nadal nosiła ślady walki z żywiołem.

Bevan przychodził sam przed południem, a z Markiem po południu. Na okres jej pobytu w szpitalu wziął chłopca do siebie, co ją uspokoiło.

Niewiele pamiętała z chwili, gdy Bevan ją znalazł, ale nie zapomniła jego łez... ani tego, że nie wypuściła z ręki torby pani Ellis.

Kiedy Bevan prznosił Cassandrę na przybyłą po nich motorówkę, spytał:

- A cóż to za cudo ściskasz w ręce?
- To własność pewnej starszej pani ze Springfield - wyjaśniła słabym głosem. - Chciałam to wyłowić z wody i wtedy porwała mnie fala.
- Rzykowałeś życie dla starej torby?!
- Tak. Ta kobieta ma w niej wszystko, co dla niej najcenniejsze. .. Wchodząc po tę torbę do wody, nie wiedziałam, że tak się to skończy.

Pamiętała to wszystko... i jeszcze jedno: Bevan miał chyba łzy w oczach i był to jedyny raz, kiedy okazał jakiegokolwiek uczucia, bo gdy później objął ją na brzegu rzeki, nie obsypał jej pocałunkami ani nie powiedział, że ją kocha... Więc pewnie to nie były łzy, tylko krople deszczu...

Nie miała jednak wątpliwości, że się o nią troszczył. I odwiedza ją regularnie... Choć z drugiej strony, czy każdy porządny człowiek nie odwiedzałby chorej w szpitalu?

Za dużą wagę przywiązując do tego wszystkiego, pomyślała ponuro. Zawsze wierzymy w to, w co chcemy wierzyć.

Leżała w klinice już czwarty dzień i tęskniła do domu, ale nic nie wskazywało na to, by ją chcieli wypisać. Oliver Grant złożył jej złamany nadgarstek, a i Lucinda odwiedziła ją kilka razy. Nie zaprzyjaźniły się, ale niechęć Cassandry osłabła, gdy poznały się lepiej.

Zapukano do drzwi i weszła roześmiana Joan.

- Mamy licencję! Dostaliśmy najwyższą ocenę!

- To wspaniale! - zawołała Cassandra.

- Prawda? Spotykamy się wieczorem, żeby to uczcić, a ponieważ nie będziesz mogła przyjść, przyniosłam coś już teraz.

- Mówiąc to, wyjęła z torby butelkę szampana.

- A co na to lekarz?

- Masz na myśli Bevana?

- Tak.

- Nic nie wie. Prawdę mówiąc mało go widzimy, odkąd się tu znalazłaś. Przesiaduje u ciebie, zajmuje się Markiem i ma swoją pracę, więc nie ma czasu na spotkanie się ze znajomymi.

- Wcale u mnie nie przesiaduje.

- Jeśli tak zajęty lekarz składa ci dwie wizyty dziennie, to znaczy, że przesiaduje. - Roześmiana dotąd Joan spoważniała i oświadczyła: - Nie zdarzyło mi się dotąd spotkać człowieka równie opiekuńczego jak on. Kiedy przywiózł cię tutaj, postawił na nogi cały personel.

Gdy Joan w końcu wyszła, Cassandra ułożyła się wygodnie i z radością myślała o tym, że ich wysiłki w walce o przedłużenie licencji odniosły skutek. Na jej policzkach pojawiły się rumieńce, spojrzenie nabrało blasku. Wiadomość, którą przyniosła Joan, bardzo podniosła ją na duchu. Nawet jeśli Bevan nie ma zamiaru

dać jej szczęścia w życiu prywatnym, w życiu zawodowym osiągnęła kolejny sukces.

Gdy zjawił się godzinę później, już w progu stwierdził:

- Czujesz się o wiele lepiej. Od razu to widać!

- Tak - uśmiechnęła się. - Właśnie Joan mi powiedziała, że dostaliśmy licencję na kolejny rok. Szpital jest bezpieczny przez następne dwanaście miesięcy!

- To wspaniale! - odrzekł i uśmiechnął się na widok jej uradowanej miny. - Zasłużyliście na to, a zwłaszcza ty.

- My się uważamy za zespół.

Bevan przyniósł jej dwa bukiety: róże z kwiaciarni i pęk kwiatów, które mogły pochodzić tylko z jej ogrodu.

- Od Marka i ode mnie - oznajmił.

Cassandra pochyliła głowę, wdychając ich zapach.

- Róże są piękne. I jak to miło ze strony Marka: domyślił się, że ucieszę mnie kwiaty z własnego ogrodu.

- Nie zgadłaś. To róże są od Marka. Kupił je za własne oszczędności. A kwiaty w ogrodzie zrywałem ja, bo wiem, ile dla ciebie znaczy dom.

- Naprawdę? - W jej oczach pojawiły się łzy wzruszenia.

- Naprawdę. Stworzyłaś sobie w tym miasteczku własny dom... I nie chcesz, żeby ktoś obcy naruszył jego spokój, prawda?

Był teraz bardzo poważny. To nie była rozmowa lekarza z pacjentem ani pogawędka odwiedzającego z chorą. Cassandra uznała, że musi mu powiedzieć prawdę.

- Jeszcze kilka miesięcy temu miałbyś rację - odparła z namysłem. - Kiedy przyjechałeś zastąpić doktora Johna, natychmiast odgadłam, kim jesteś i postanowiłam zrobić wszystko, żebyś nie wtargnął w nasze życie.

- A teraz?
- Teraz czuję zupełnie inaczej. Masz wszystkie zalety, których brakowało Darrenowi i bardzo żałuję, że od razu nie powie-
działam ci, kim jest Mark. Bałam się, że zmieni to nasze życie...
I tak się stało.

- Masz na myśli moją przyjaźń z Markiem?
- Też, ale bardziej zaskoczyło mnie to, co się stało ze mną.
- Mianowicie? - spytał cicho.
- Nie udawaj, że nie wiesz.
- Chciałbym wiedzieć, ale na razie jestem pewien tylko mo-
ich uczuć. - Ujął jej zdrową rękę i delikatnie ją głaszcząc, mówił:
- Odkąd straciłem rodzinę, jestem samotny. Nie przeczę, że inte-
resowały się mną kobiety; niektóre nawet chciały się ze mną
związać, ale nigdy mnie to nie pociągało. Dopiero kiedy pozna-
łem ciebie i Marka... Nie szukałem gotowej rodziny, mógłbym
mieć własne dzieci, ale ty jesteś taka piękna, a Mark jest tak
wspaniałym chłopcem, że zachwyciłem się wami od pierwszej
chwili. Kiedy dowiedziałem się, że spałaś z tym moim nieodpo-
wiedzialnym bratem, oszalałem z zazdrości... i byłem wściekły,
że nie uznałaś za stosowne poinformować mnie o tym. Potem,
kiedy odkryłem, że jesteś tą dziewczyną, którą niesprawiedliwie
oskarżyłem wtedy na cmentarzu, zrozumiałem twoją wrogość
w stosunku do mnie. Nie rozumiałem jednak, dlaczego, ilekroć
cię dotknę, zaczyna się z nami dziać coś dziwnego.

Cassandra słuchała jak urzeczona. Czy Bevan rzeczywiście
otwiera przed nią serce?

- Kiedy nie pojechałaś z nami do Australii - ciągnął - do-
szedłem do wniosku, że wolisz powierzyć mi syna, niż być ze
mną. Nie podbudowało mnie to psychicznie.

Uniosła rękę i dotknęła palcem jego warg.

- Cśśś... - powiedziała łagodnie. - Nie pojechałam do Australii, bo myślałam, że mnie nienawidzisz. Pamiętasz, że kazałeś mi zejść ci z oczu?

Uśmiechnął się.

- Przyznaję. Trochę przesadziłem, ale byłem zdruzgotany odkryciem, że ze wszystkich ludzi na świecie trafiłaś właśnie na mojego brata.

- Ale nigdy mnie o to nie spytałeś. Nigdy nie dałeś mi szansy wyjaśnienia, jak to naprawdę było. A przespałam się z nim tylko raz. Był taki czarujący, że nie mogłam się mu oprzeć. Kiedy się zabił, spotykał się już z Lucindą. To ona go namówiła do wejścia na wieżę. Kiedy zdałam sobie sprawę, że jestem w ciąży, wcale się nie ucieszyłam, bo Darren mnie nie kochał. Ale nigdy nie żałowałam tego, że urodziłam Marka i każda spędzona z nim chwila była mi droga.

- A czy znajdziesz w swoim życiu miejsce dla kogoś jeszcze?
- spytał, patrząc jej w oczy tak, że serce zabiło jej mocniej.

- Zależy, kto o to poprosi - powiedziała z czułym uśmiechem.

- Wędrowiec, który nigdzie nie zagrzał miejsca, ale teraz chciałby wreszcie osiąść i założyć dom.

Rozbłyły jej oczy.

- Tu? W naszym miasteczku? Zostaniesz u nas?

- Jeśli za mnie wyjdiesz, Cassie. W dniu ewakuacji szpitala złożyłem Johnowi ofertę odkupienia praktyki i zaraz potem dowiedziałem się, że najdroższa mi kobieta zaginęła. Gdybyś utonąła, chyba bym oszalał.

Cassandra pogłaskała go po twarzy.

- A co z Markiem? Musiałbyś zachować zdrowy umysł dla niego.

- Tak, masz rację, bo inaczej byś mnie straszyla po nocach...
Ale zmieniasz temat. Czy wyjdiesz za mnie, Cassie?

- Oczywiście. Potrzebuję kogoś, kto uczyni mnie szanowaną kobietą, a Markowi przyda się ojciec - zażartowała.

Uśmiech zamarł na jego ustach.

- To wszystko?

- Nie, to nie wszystko. - Spoważniała. - Wyjdę za ciebie, bo cię kocham i podziwiam.

Wstał, usiadł na łóżku i chwycił ją w ramiona, oświadczył:

- To przez ciebie nie mogłem spać. Byłem ciągle wytrącony z równowagi, ale nadal nie sądzę, żeby można było cokolwiek z tym zrobić.

- Dlaczego? - spytała zdumiona.

- Bo nie będę myślał o spaniu, gdy znajdziesz się w moim łóżku - powiedział, obrzucając ją spojrzeniem, które miała zapamiętać do końca życia.